

ISSN 1507-4781* ROK XXI* ZIMA (I, II, III) 2018* nr 75

FORUM 75

MYŚLI WOLNEJ

Krakowski magazyn racjonalistów



STEFAN BERDAK "Uważaj bo zbankrutujesz", akryl, płyta.

W numerze m.in.:

- Tadeusz Żeleński-Boy, *Zmysły, zmysły...*
- Piotr Szydłowski, *Rola etyki w filozofii pozytywistycznej...*
- Jan Czajkowski, *Natura sacrum...*, cz. 2
- Michał Chorośnicki, *Nowy terroryzm...*
- Józef Kabaj, *Studia religioznawcze w Krakowie...*

**1 SŁOWO OD REDAKTORA**

Stanisław Franczak

TEMATY SPRZED LAT

- 2 Tadeusz Żeleński-Boy, *Zmysły... zmysły.*
Wybór i wprowadzenie Piotra Augustynka

ETYKA DLA MŁODZIEŻY

- 5 Piotr Szydłowski, *Rola etyki w filozofii pozytywistycznej*

NAUKI O POLITYCE

- 10 Michał Chorośnicki, *Nowy terroryzm – czy grozi nam nuklearne zagrożenie?*

POPULARYZACJA NAUKI

- 19 Józef Kabaj, *Bóg i John C. Lennox, matematyk*

RELIGIOZNAWSTWO

- 25 Jan Czajkowski, *Natura sacrum i jego społeczna funkcja w religiach kosmocentrycznych, cz. 2: religie plemienne, hinduizm, taoizm*

MYŚLAĆ BELFREM

- 34 Piotr Augustynek, *Obiit Gustavus, natus est Conradus*
35 Stanisław Franczak, *Przebudzenie Ojczyzny – wiersz*

SOCJOLOGIA

- 36 Agata Krawczyk, *Kultura obnażania w mediach*

RECENZJE – FELIETONY – POLEMIKI – LISTY

- 39 Ignacy S. Fiut, *Miłość przywraca autentyczność*
41 Jan Socha, *Kwestia żydowska*

HISTORIA BLISKA I DALEKA

- 42 Krzysztof Szymański, *Polska racja stanu w 1950 roku*
45 Józef Kabaj, *Jak to było ze studiami religioznawczymi w Krakowie?*
51 Henryk Szydłowski, *Grób Niechcianego Żołnierza*

KRONIKA

- 54 *Kultura niepodległa kobiet*, opr. Nina Gabrys
54 *Manifest Kongresu Świeckości*
57 *Dni Świeckości i Marsz*

Z PORTALI INTERNETOWYCH

- 58 *Starczewska, Dennett*
O. Kłoczowski z medalem *Cracoviae merenti*
Wybór: Józef Kabaj

62 Z PRASY**KOMENTARZE**

- 63 Sławomir Brodziński

doc. dr Andrzej Kurz
– przewodniczący,
prof. dr hab. Czesław Banach
– wiceprzewodniczący,
dr Józef Kabaj
– wiceprzewodniczący,
mgr Jan Nowak
– wiceprzewodniczący,
mgr Stanisław Franczak
– sekretarz.

Członkowie:

prof. dr hab. Adam Chmielewski,
prof. dr hab. Michał Chorośnicki,
prof. dr hab. Ignacy S. Fiut,
prof. dr hab. Marian Grzybowski,
prof. dr hab. Jerzy Kochan,
prof. dr hab. Jerzy Kolarzowski,
dr hab. Zbigniew Krawczyk,
prof. dr hab. Józef Lipiec,
mgr Mieczysław Noworyta,
prof. dr hab. Jerzy Ochman,
prof. dr hab. Jan Szmyd,
prof. dr hab. Piotr Szydłowski,
prof. dr hab. Jan Woleński,
prof. dr hab. Krzysztof Woźniakowski.

ADRES REDAKCJI:

30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
tel. 12 423-50-16; 501 456 547
e-mail: j.kabaj@wp.pl
sekretarz redakcji: tel. 501 286 053

Wydawca:

Rada Wojewódzka
Towarzystwa Kultury Świeckiej,
30-703 Kraków, ul. Dekerta 2A/5
www.forummysliwolnej.pl
Dom Fundacyjny im. Lidii i Leona
Świeżawskich

Skład, łamanie i druk:

Agencja Reklamowa Novum,
31-158 Kraków, ul. Krowoderska 66/8
tel.: 12 633 35 53
www.novum.krakow.pl

Redaktor naczelny: Stanisław Franczak.

Zespół redakcyjny: Ignacy S. Fiut, Antoni Pietryka (zastępcy red. nacz.), Piotr Augustynek (sekretarz), Sławomir Brodziński, Mieczysław Jakubiec, Artur Kozioł (red. techniczny).

Opracowanie graficzne: Stefan Berdak.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania tekstów i zmiany tytułów. Nie odsyłamy materiałów niezamówionych. Artykuły naukowe są recenzowane przez samodzielnych pracowników nauki.

Portrety postaci historycznych oraz reprodukcje dzieł sztuki zaczerpnięte z zasobów Wikipedii.



SŁOWO OD REDAKTORA

To był trudny rok, naznaczony tajfunami i huraganami, orkanami i powodziami, to znów suszami i trzęsieniem ziemi. Ziemia zresztą wyraźnie daje nam znać, że to już kres jej cierpliwości i staje się tykającą bombą. Jak na ironię, to człowiek ma w ręku atomowy przycisk, który za nierozważnym naciśnięciem unicestwi raz na zawsze życie na niebieskiej planecie. Oby przyszło jak najszybsze opamiętanie.

Tym szaleństwom przyrody towarzyszyło w mijającym roku wiele napięć społeczno-politycznych na świecie, nowych wojen, prężenia mięśni, czego dowodem Korea i Iran, a wreszcie stałego umacniania się ISIS i terroryzmu światowego. Co nam wróży Nowy Rok?

Zwłaszcza że sytuacja społeczno-polityczna w kraju grozi wybuchem, rośnie niezadowolenie obywatelskie i obawa o skutki polityki autokratycznej. Zagrożona jest wolność słowa i prawa konstytucyjne, a przed nami jeszcze samorządowa kampania wyborcza, która przecież przesądzi o realnej władzy, tej najbliższej obywatelom.

W świątecznym numerze rekomendujemy Państwu stały cykl etyczny nie tylko dla młodzieży, w wydaniu prof. Piotra Szydłowskiego, tym razem nt. roli etyki pozytywistycznej. Zaś znakomity uczony, znany ze swych publikacji i wystąpień telewizyjnych, prof. Michał Chorośnicki, pisze o nowym terroryzmie, zastanawiając się nad tym, czy grozi nam nuklearna zagłada. Znajdziecie też Państwo informacje o krakowskiej konferencji na temat kultury niepodległej kobiet oraz dramatyczną historię religioznawstwa krakowskiego. A ponadto stały kącik wiecznie żywych publikacji T. Boya-Żeleńskiego, felietony, recenzje, literaturę piękną, przedruki z prasy i portali internetowych oraz komentarze wydarzeń w kraju i za granicą. Życzymy miłej świątecznej lektury.



*Życzenia świąteczno-noworoczne
spokojnych, zdrowych dni i udanego wypoczynku
oraz spełnienia planów i marzeń w roku 2018*

*składa
Rada Programowa i Redakcja.*

PIOTR AUGUSTYNEK

Chłystku, co ty wiesz o Chwistku?

Po takim tytule, zamieszczonym w tekście Boya należałoby się spodziewać rzeczy co najmniej dziwnych lub szokujących. Już widzę rzeszę moralnych purystów, śliniących się, z wypiekami na twarzy śledzących tekst doktora Tadeusza. Szukają sprośności co się zowie, skandalu, Sodomy i Gomory.

No i – bęc! Nic z tego. Owszem, autor odwołuje się do zmysłów i zmysłowości. Trochę prowokuje – jego niezbywalne prawo. Lecz tak naprawdę nie o to mu chodzi.

Przywołuje postać do końca nierozeznaną, niedocenianą (jak to w pięknym kraju nad Wisłą) i po trosze zapomnianą. Ukazuje malarza, logika i matematyka, a zarazem filozofa. Chodzi o Leona Chwistka. Postać wybitną, bo takie bywają osobowości „pogranicza” różnych sfer intelektu. Połączenie wyżej przytoczonych dziedzin wiedzy musiało zaowocować czymś doprawdy niezwykłym.

Przykład Leona Chwistka świadczy dobitnie o tym, że nasi najmilsi ziomkowie (a może już tylko ziomale?) znakomicie, jak nikt, potrafią zaprzepaszczać i gubić prawdziwie wielkie osobowości. Można by rzec: autorytety, ale czy to słowo dzisiaj cokolwiek znaczy?

TADEUSZ ŻELEŃSKI BOY

Zmysły... zmysły...

Wróciwszy w tym roku z urlopu czułem, jak zawsze po powrocie z urlopu, przerażającą pustkę w głowie. Próbowałem wszystkiego, aby pobudzić ospałą myśl: odbywałem forsowne spacerki, leżałem na kanapie z głową nisko, a nogami wysoko, – nic. Zażywałem kolę, zażywałem hermosperminę (ekstrakt jąder byka, znakomite podobno na intelekt) – nic. Szukając deski ratunku, zapisałem się do kółka samokształcącego, którego każdy członek obowiązuje się, wzorem dawnych filomatów, przeczytać i zreferować jedną książkę na miesiąc. Wierzajcie mi: przeczytać jedną książkę na miesiąc to jest bardzo trudno. Jak wybrać: czemu tę a nie inną? – skoro ze wszystkich tylko

tę, to już w ogóle nie warto żadnej... Tak wahając się wszedłem do księgarni; postanowiłem zamknąć oczy, wyciągnąć rękę i wybrać na los szczęścia. Trafiłem na *Don Juana* Delteila. Skrzywiłem się: nie lubię Don Juana, to dobre dla snobów. Co na ten temat można jeszcze powiedzieć? Od czasu tezy psychoanalityka-dramaturga, zdaje się Lenormanda, że don Juan był nieświadomym pederastą, który, rzecz prosta, zmieniał kobiety, bo nie mógł znaleźć w nich smaku, jakąż jeszcze koncepcją zdoła zafrapować. Rad byłem natomiast z nazwiska autora: słyszałem o Delteilu wiele, a nic jeszcze jego nie czytałem. I oto, biorąc książkę do ręki, spostrzegam koło niej drugą,

p.t. *Delteil tout nu* (coś niby po naszymu *Delteil na goło*), pióra Maryse Choisy. Pomyślałem sobie: wezmę i tę, będzie *a Condon* drugi miesiąc. Zwłaszcza, że tej Maryse (po naszymu Maryśka) Choisy coś znałem: prawda, to ona napisała *Un mois chez les filles*, – *Miesiąc u dziewcząt*, wielki sensacyjny reportaż, dla którego zebrania autorka, młoda doktorka filozofji, wstąpiła jako służąca na miesiąc do domu publicznego studiować tam życie. Nie wystudiowała nic specjalnie ciekawego, ale narobiła wiele hałasu i zgorzienia, tak że przerobiono ten *Miesiąc u dziewcząt* na sztukę teatralną, nawet zabronioną przez policję. Z książki Maryse Choisy dowiedziałem się, że ta badaczka domów publicznych jest – jak i Delteil zresztą – programową „katoliczką”, bodaj czy nie *dzieckiem Marji*. To jest osobliwa rzecz z katolicyzmem literatów we Francji: faktem jest, że trzy czwarte książek tych neo-katolików powinny się znajdować na indeksie, gdyby indeks miał czas interesować się bieżącą literaturą...

(...) Tylko wciąż ta nieznośna bufonada „neo-katolicka”! To także jest charakterystyczne dla neo-katolików: łączą wyrafinowaną zmysłowość z jakąś paradą samoogłupiania *a’ la Pascal*. „Dzieli ludzi (pisze Delteil) na trzy kategorie: katolików, idjotów i bandytów, ponieważ każdy, kto nie wierząc w Boga jest uczciwy, jest idjotą”...

Mówi to z taką stanowczością, że człowiek nie śmie nawet spytać o los kalwinów, których podobno we Francji jest sporo...

Ale nie o tym miałem pisać. Właściwie punktem wyjścia moich refleksji było to, że czytając książkę Maryse Choisy o Delteilu trafiłem na następujące zdanie: „Kwestja podświadomości w sztuce staje się zatem w metafizyce zagadnieniem



głębszym, zagadnieniem bardzo nowoczesnym: wielością rzeczywistości”.

Podskoczyłem na krześle: cóż ta dziewucha okradła naszego Chwistka z jego terminologii? Ale nie: pani Maryse jest lojalna. Spozrzegłem przypisek: „Czytaj, w tej kwestii Bertranda Russella, Macha, i Leonarda Chwistka (pisze go: *Chviestec*), który miał na ten temat interesujący referat na kongresie filozoficznym w Neapolu w r. 1924”.

Mój Boże, zacerwieniłem się ze wstydu. Toż mam w szufladzie od roku *Wielość rzeczywistości* Chwistka. Ofiarowaną mi przez samego autora, i trzeba było dopiero, aby przypisek spotkany we francuskiej książce przypomniał mi, że jej dotąd nie otworzyłem. Widzę, kochany analfabeto, który mnie czytasz, zdumienie na twojej twarzy: kto to jest w ogóle Chwistek? Wstydz się dzikusie. Leon Chwistek, malarz, matematyk i logik, autor zajmującej tezy filozoficznej, znanej powagom europejskim, jest w świecie intelektualno-artystycznym postacią nader popularną. Urzędownie jest docentem czy profesorem uniwersytetu lwowskiego. Jest teoretykiem nowych szkół malarskich. Czi

myśl paradoksalna

Tak jakoś jest, że ludzie mający się za wierzących (albo tylko udający takich) są poza tym konkretni, stąpający – jak to się mówi – twardo po ziemi. Niewierzący zaś uchodzą za niepoprawnych, naiwnych idealistów; bo wierzą np. w postęp, tj. w postępy rozumności. Nawet kiedy jej regres (tzn. rozumności życia społecznym i nie tylko) widać gołym okiem.

Jan Socha

go Tadeusz Peiper. St. Ign. Witkiewicz uważa Chwistka za „najtęższego logika w Europie”, mając zarazem jego teorię za wierutny nonsens.

(...) Przypomniało mi się, jak żywe owo popołudnie, spędzone w domu Chwistka. Rozmawialiśmy o rzeczach literackich czy filozoficznych. Obcowanie z tak bogatą inteligencją jest prawdziwą rozkoszą. Równocześnie oko moje błędziło po ścianach. Uderzała mnie dziwna zmysłowość, bijąca z porozwieszanych obrazów: spytałem artystę, czy to są jego ostatnie prace. Ożywił się: wyjął tekę,

jedną, drugą, trzecią, przesunął przed memi oczami – więcej niż bez osłonek – cały seraj odurzających piękności. Spojrzałem na Chwistka: oczy jego błyszcząły, cała twarz miała coś uduchowionozwierzęcego. Piękna żona artysty, milczący świadek tej sceny, spoglądała na niego życzliwie. „Niech pan zachowa ten obrazek na pamiątkę” – rzekł Chwistek i zawiązał mi akwarelę wraz z egzemplarzem *Wielości rzeczywistości*, z którą do dziś dnia przetrwała w moim sekretarzyku.

A teraz, kwestja godna zastanowienia. Jaki związek istnieje między temi akwarelami Chwistka a jego filozofią, logiką, matematyką, i czy w ogóle istnieje? Sądzę, że najściślejszy; tylko, że w obecnym stanie nauki nie ma sposobów ustalenia i zbadania tych związków. Ale, z drugiej strony, nie ma powodu wątpić, że kiedyś stanie się to rzeczą dostępną i łatwą; da się transponować objawy ducha na dowolną formę. Wówczas może niejedna teza matematyczna czy metafizyczna, przetransponowana w ten sposób, będzie przypominała kolekcję pornograficznych pocztówek.

(...) To już istne urzeczenie: zmysły, wszędzie zmysły! Zstąpcie, płomienie z nieba, i pochłońcie tę Sodomę! □

Tekst T. Boya Żeleńskiego zamieszczony w serii „Biblioteka Boya” Warszawa, 1932. Wyboru dokonał Piotr Augustynek.

*Zachowano pisownię oryginału.



PIOTR SZYDŁOWSKI

Rola etyki w filozofii pozytywistycznej

Zrozumienie etyki i sposobu jej funkcjonowania w filozofii pozytywistycznej wymaga wcześniejszego zrozumienia owej filozofii, tak już bowiem jest, że etyka w każdym systemie filozoficznym stanowi jeden z jej działów, a jej profil uzależniony jest od charakteru systemu w ramach którego funkcjonuje.

1. Pierwsza faza pozytywizmu

Pozytywizm powstał we Francji w pierwszej połowie XIX wieku i przechodząc w swym rozwoju różne fazy, osiągnął ostatni etap w postaci neopozytywizmu zwanego też pozytywizmem logicznym XX wieku.



August Comte; źródło – Wikipedia

Inicjatorem tego ruchu był August Comte (1798-1857), absolwent paryskiej Szkoły Politechnicznej, w której prowadził zajęcia dydaktyczne z filozofii głównie dla matematyków i przyrodników. Przekonany, że nauka wymaga poważnej reformy i że on jest do tej reformy powołany, poróżnił się z władzami uczelni

i opuścił ją w 1848 r. Wcześniej opublikował swoje dwa podstawowe dzieła:

- *Cours de philosophie positive*, 6 tomów, 1830-1842

- *Discours sur l'esprit positive*, 1844 (wyd. pol. „Rozprawa o duchu filozofii pozytywnej”, przeł. J.K., wyd. PWN 1973, Kęty 2001, Altaya 2003)

Po opuszczeniu uczelni wydał swoje trzecie dzieło: – *Système de politique positive*, 4 tomy, 1851-1854.

Studiując historię ludzkości Comte odkrył rządzące nią prawo. Odkrył mianowicie, że ludzkość w swoich dziejach przechodziła przez trzy fazy rozwoju: teologiczną, metafizyczną i trzecią, która jest ostatnia – pozytywną. W pierwszej fazie swego rozwoju ludzie tłumaczyli otaczające ich zjawiska odwołując się do duchów, rządzących się uczuciami, uprawiali fetyszyzm, politeizm i monoteizm. W drugiej fazie, metafizycznej, rządzący się intelektem i wytwarzali fikcję w postaci metafizyki. W trzeciej fazie rozwojowej, pozytywnej, wolnej od mitologii i metafizyki ludzkość stwierdza fakty, ale nie tłumaczy ich ani przez duchy ani przez abstrakcje. Jest to najwyższa, aktualnie istniejąca, ostateczna faza rozwojowa. Filozofii swej nadał Comte miano pozytywnej. Na czym ona polega najlepiej wyjaśnia Władysław Tatarkiewicz (Historia filozofii, t. 3, 1970, s. 18): „Comte, nadając filozofii swej miano *pozytywnej* chciał wyrazić przez to, że, po pierwsze, zajmuje się ona wyłącznie przedmiotami r z e c z y

w i s t y m i, stroniąc od urojonych, bada rzeczy dostępne umysłowi, a nie tajemnicę; że – po drugie – rozważa tylko tematy p o ż y t e c z n e, unikając jałowych, chce bowiem służyć polepszeniu życia, a nie zaspokojeniu czezej ciekawości; że – po trzecie – ogranicza się do przedmiotów, o których można uzyskać wiedzę pewną, stroniąc od tematów chwiejnych i prowadzących do wiecznych sporów; po czwarte zajmuje się kwestiami ś c i ś l y m i, unikając mglistych; że, po piąte, pracuje p o z y t y w n i e, nie ograniczając się do negatywnej krytyki.”

Konsekwencją przyjęcia tych zasad była rezygnacja z metafizyki, która zajmuje się m.in. pierwszą przyczyną i ostatecznym celem zjawisk i – w rozumieniu Comte’a – tworzy byty abstrakcyjne, nie istniejące w rzeczywistości. Konsekwencją była również rezygnacja z teorii poznania, logiki i psychologii. Za zbędne, bo bezsensowne uznał Comte dociekania czy poznanie jest możliwe, bo przecież każdy poznaje i widzi, że jest możliwe. Dociekania stosowane w logice też uznał za abstrakcyjne i zbędne. Psychologię uznał za niemożliwą, ponieważ – jego zdaniem – nie można być jednocześnie obserwatorem i obserwowanym (tzn. wglądać w swoje przeżycia psychiczne). Obserwować można wyłącznie fakty zewnętrzne w stosunku do obserwowanego człowieka. Dla filozofii przewidział Comte jedynie zbieranie, porządkowanie i klasyfikowanie tego co wypracują nauki szczegółowe. Pisał: „Ani teologia ani metafizyka nie są w stanie wytłumaczyć rzeczywistości; poza tym nie przynoszą pożytku. Powinniśmy zajmować się jedynie faktami zewnętrznymi, które są dostępne naszemu doświadczeniu empirycznemu. Fakty te możemy badać za pomocą nauk przyrodniczych Dzięki temu możemy ustalać związki zachodzące

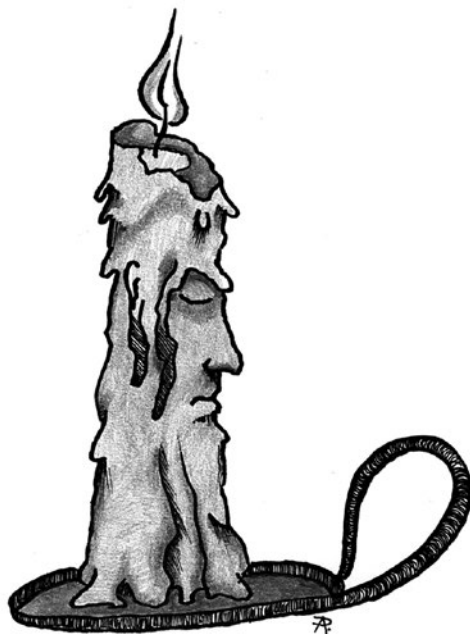
między faktami, czyli prawa, a następnie za pomocą samego już tylko rozumowania przewidywać dalsze fakty i ustanawiać prawa”. Wszystkim, co wykraczało poza fakty empiryczne, przyrodnicze, Comte nie chciał się zajmować, dlatego nie angażował się w ateizm ani w dywagacje o życiu pozagrobowym. Nie akceptował również sceptycyzmu, ponieważ poddaje on w s z y s t k o w wątpliwość, a filozofia pozytywna wątpi tylko w to, czego nie stwierdzi doświadczalnie. Comte miał pełne zaufanie wyłącznie dla faktów, które rozważa nauka i wyciąga z nich wnioski zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, wystarczającym do poprawnego uprawiania nauki.

Kładąc nacisk na praktyczne zadania nauki, Comte poszerzył je o potrzebę kształtowania ustroju społecznego. Zadania te polegały na znalezieniu i utworzeniu doskonałej organizacji życia społecznego dla ludzkości. W tej właśnie refleksji nad potrzebą najlepszego ustroju p o j a w i a s i ę u C o m t e ’ a r e f l e k s j a e t y c z n a. Specyficzna refleksja, wynikająca z wszystkich omówionych wyżej uwarunkowań nauki. Dotyczy ona jakości życia społecznego. Po co bowiem uprawia się i rozwija nauki przyrodnicze jeśli nie dla dobra całego społeczeństwa? Filozofia zatem pozytywistyczna winna określić moralne zadania dla człowieka i społeczeństwa, pragnącego żyć w możliwie najdoskonalszym ustroju społecznym. Tym m o r a l n y m z a d a n i e m dla wszystkich członków społeczeństwa jest doskonalenie siebie samego. Pisał Comte: „Najdonioślejszym zadaniem ludzkości winno być ciągłe doskonalenie natury ludzkiej, zarówno indywidualnej jak i zbiorowej”. Doskonalenie to – wyjaśniał – winno się odbywać „w granicach zakreślonych przez prawa rządzące

realnym światem”. Jego filozofia praktyczna zawarta była w hasle: „żyć dla innych” (*vivre pour autrui*), a to życie dla innych wymagało od jednostki wyrzeczenia się pewnych praw osobistych dla dobra i korzyści innych jednostek społeczeństwa, zwłaszcza poświęcenia się jednostek silnych dla słabych, czego odwrotnością była cześć dla silnych ze strony owych słabych. Badacze poglądów Comte’a dostrzegają pewne podobieństwo tych haseł do nauki chrześcijańskiej, inaczej oczywiście motywowanej. Różnica polega na tym, że w etyce Comte’a o s t a t e c z n y m c e l e m w y s i ł k ó w m o r a l n y c h j e s t L u d z k o ś ć – pisana dużą literą – a nie Bóg. Comte wyraźnie i jednoznacznie uważał tezy praktyczne, etyczne i polityczne za największy swój wkład do pozytywizmu. Dlatego też zmierzał do przekształcenia ruchu politycznego w ruch filozoficzny. Uważał to za warunek powodzenia wysiłków moralnych ludzkości.

Z czasem August Comte przeszedł załamanie psychiczne i chorobę umysłową, z której jednak wyszedł i wszedł w drugą fazę swej działalności reformatorskiej. W tej drugiej fazie odstąpił od pierwotnych swoich poglądów odrzucających metafizykę i religię. Jego filozofia przybrała formy religijne. Budował świątynie, organizował kapłanów, uprawiał kult, oczywiście świecki, kult Ludzkości. Sam przyznawał się do tego w IV tomie swego *Systemu*. Nie zajmował się Bogiem. Miejsce bóstwa zajęła u niego Ludzkość, pisana właśnie dużą literą, w czym badacze jego filozofii dopatrują się „bytu metafizycznego”, który wcześniej tak stanowczo zwalczał. Ludzkość zaczął nazywać „Wielką Istotą” (*Le Grand Être*), która w jego myśleniu zastępowała miejsce Boga. „W końcu on

– jak pisze Władysław Tatarkiewicz w *Historii Filozofii*, t. 3, 1970, s. 24 – który zapowiadał, że przezwyciężył fazę teologiczną i metafizyczną ludzkości, stworzył nowy kult z modlitwami, obzędami, sakramentami, kościołami, władzami duchownymi, świętymi. Jego „polityka pozytywna” domagała się ustroju nie tylko religijnego, ale i teokratycznego. Nauczanie i leczenie powierzała klerowi. Zwalczała parlamentaryzm, domagała się władzy dyktatorskiej, dziecięcości urzędów, cenzury nie tylko książek, ale i umysłów, zwalczania myśli niepodległej. Uczonym pozwalała podejmować te tylko zagadnienia, które zostały nakazane przez władze. Kazała palić wszystkie książki nie dające bezpośredniego pożytku. A wreszcie Comte, pierwotnie fanatyk nauki, utracił do niej zaufanie, uznał abstrakcyjne dociekania za niezdrowe dla ludzi zajęcie. Zaczął też wyrażać niechęć do Greków, a sympatię do teokracji Wschodu, a nawet do fetyszyzmu, który uznał w końcu za stanowisko najbliższe pozytywizmowi”.



2.Trzecia faza pozytywizmu

Trzecia faza zwana jest neopozytywizmem oraz pozytywizmem logicznym. Pomijamy tu fazę drugą związaną z działalnością Ernesta Macha (1838-1916), który poznanie pojmował jako zespół wrażeń, a odkryte przez fizyków niewidoczne dla oka atomy traktował jako fikcje naukowe. W dodatku nie reprezentował jakichś specyficznych poglądów etycznych mogłyby nas interesować.

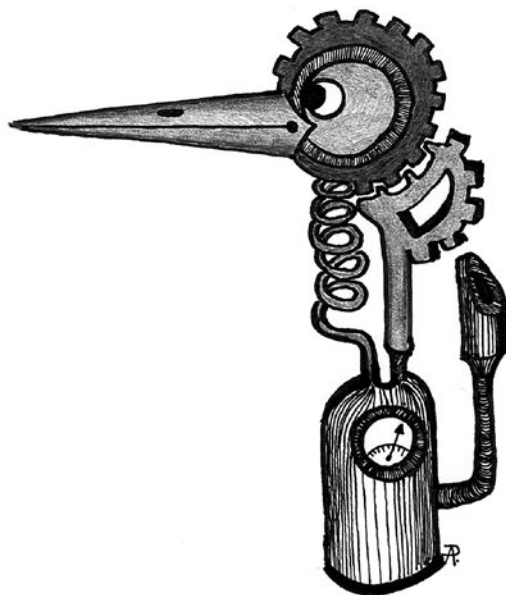
Neopozytywizm zatem, zwany również pozytywizmem logicznym lub też filozofią analityczną, jest kontynuacją zmienionego pierwszego pozytywizmu Augusta Comte'a. Jest nową jego odmianą, niewiele mającą z nim wspólnego. Jest to kierunek filozoficzny XX wieku, najbardziej wpływowy w okresie międzywojennym, propagujący hasło walki z filozofią tradycyjną, z metafizyką, oraz głoszący postulat uprawiania „filozofii naukowej” pojmowanej jako logiczna analiza języka. Pojęcia bowiem i twierdzenia wyrażane są w języku, więc filozofia analityczna winna być analizą tego języka. Zwana też jest filozofią lingwistyczną od łacińskiego wyrazu *lingua* – język.

Neopozytywiści zorganizowali się w roku 1922 w tzw. KOŁO WIEDŃSKIE na Uniwersytecie Wiedeńskim wokół Moritza Schlicka (1882-1936), w Katedrze Filozofii i Historii Nauk Indukcyjnych. Członkami Koła byli: Rudolf Carnap (1891-1970), Otto Neurath (1882-1945), Gustaw Bergmann (1906-1987) i inni. W tym miejscu należy dodać, że utrzymywali z nimi kontakt polscy filozofowie ze Szkoły Lwowsko-Warszawskiej, zainicjowanej w roku 1895 przez Kazimierza Twardowskiego (1866-1938), który studiował w Wiedniu filologię klasyczną, matematykę, fizykę i filozofię pod kierunkiem

Franza Brentano. Ze Szkoły Lwowsko-Warszawskiej wyszli filozofowie, logicy i matematycy przynoszący chwałę nauce polskiej, a wśród nich: Alfred Tarski, Kazimierz Ajdukiewicz, Leon Chwistek, Stanisław Leśniewski, Jan Łukasiewicz, Tadeusz Kotarbiński. Z tej to Szkoły wywodziła się słynna na cały świat w okresie międzywojennym polska szkoła matematyczna (to jej matematycy przyczynili się do rozszyfrowania hitlerowskiej Enigmy w czasie drugiej wojny światowej!).

Neopozytywiści zajmowali się również jedynie faktami. Doświadczenie uznali za najbardziej wiarygodne narzędzie poznawcze świata realnego. Pojęcia filozoficzne sprowadzali do pojęć fizycznych, a za wzór języka filozofii uważali język fizyki i matematyki. Cechą epoki był scjentyzm ze swoją postawą pełną zaufania do nauki (łac. *scientia* – wiedza). Wiedza winna opierać się na faktach i zajmować się tylko światem zjawisk przyrodniczych i społecznych. Dlatego tradycyjną metafizykę uważano za szarlatanerię, a łagodniej mówiąc – za poezję pojęciową. Nie tylko metafizyka ale i t r a d y c y j n a e t y k a nie była traktowana jako nauka. Pozytywizm preferował doświadczenie. Empiryzm, indukcja i ewolucja – to były pojęcia, którymi operowała elita intelektualna pozytywizmu. O d r z u c a n o więc w tej formacji intelektualnej metafizykę i e t y k ę, uznając je za nauki b e z p r z e d m i o t o w e. Za kryterium prawdy uznawano zgodność twierdzeń między sobą. Ci wybitni uczeni w n i e ś l i j e d n a k s w ó j p o z y t y w n y w k ł a d w e t y k ę. W jaki sposób? Oto, paradoksalnie, tropiąc i tępiąc nieweryfikowalne teorie (brane „z patrzienia w sufit”, jak mawiano w tym kręgu) i dowodząc ich bezsensowności

wynikającej z niemożności zweryfikowania ich w konfrontacji z faktami, dołączyli do tych teorii również etykę. Nie można – głosili – szukać metafizycznych znaczeń dobra i zła, bo pojęcia te nie mają żadnego przełożenia na fakty empiryczne. Nie można więc rozważać sensu etycznych zakazów i nakazów. Etyka normatywna nie ma racji bytu. Ale – i t u j e s t w k ł a d n e o p o z y t y w i s t ó w w r o z w ó j e t y k i – zauważono, że analiza logiczna pojęć etycznych wskazuje, iż pojęcia te są związane z ludzkimi emocjami – mianowicie z poczuciem komfortu lub dyskomfortu psychicznego człowieka. A ponieważ komfort psychiczny można mierzyć, np. przy pomocy ankiety, to można ten komfort uznać za fakt empiryczny. Przyznawali więc, że w skali indywidualnej dobrem moralnym jest to, co ten komfort zwiększa, i w skali społecznej podobnie – dobrem jest to, co zwiększa średni komfort psychiczny analizowanej populacji. I d o t y c h d z i a ł a ń , d o t y c h p o m i a r ó w o g r a n i c z y l i e t y k ę . Opracowali nowy sposób jej rozumienia, formułowali etykę nową, naukową, którą nazywali e t o l o g i ą (grecki wyraz *ethos*, *znaczy* zwyczaj, obyczaj, i *logos* – nauka), czyli nauką o etosie. W ten sposób p o w s t a ł n o w y d z i a ł e t y k i , zwany dziś e t y k ą o p i s o w ą . Opisują bowiem etycy to, co zbadali, a zbadali to, co ludzie uważają za dobro bądź zło moralne. Opisują zwyczaje i obyczaje środowisk ludzkich posiadające cechy moralne pozytywne lub negatywne. Z tego opisu, z faktu „jak jest” – wyjaśniano – nie wynika jednak „jak powinno być”! Przeciwnie – głoszono – że to w przyrodzie należy szukać reguł postępowania, ponieważ jesteśmy tej przyrody nierozzerwalną częścią. W ten sposób neopozytywiści



ograniczyli etykę do psychologii i socjologii empirycznej.

Dla pełniejszego obrazu odmian pozytywizmu pojawiających się w dziejach należy jeszcze wspomnieć o istnieniu tak zwanego p o z y t y w i z m u p r a w n i c z e g o . Jest to dziewiętnasto- i dwudziestowieczny nurt filozofii prawa, reprezentowany przez takich prawników jak: John Austin (1790-1859), Rudolf von Ihering (1818-1892), Georg Jelinek (1851-1911), Herbert Hart (1907-1992) i Hans Kelsen (1881-1973). Jego reprezentanci nie uznawali istnienia prawa naturalnego, które – zdaniem teologów – jest przejawem i odbiciem prawa wiecznego istniejącego w umyśle boskim. Pojęcie prawa sprowadzali do normy (reguły), stanowionej przez określony autorytet (państwo), obowiązującej jedynie na określonym terenie i w określonym czasie. □

Czytaj również:

- Woleński Jan, Szkoła Lwowsko-Warszawska w polemikach, Warszawa 1997
- Skarga Barbara, Comte, wyd. WP, Warszawa 1966

MICHAŁ CHOROŚNICKI

Nowy terroryzm – czy grozi nam nuklearne zagrożenie?

Terroryzm jest problemem globalnym i to jest bezsporne. Terror od zawsze był taki sam, jego głównym celem jest dystrybucja strachu i poczucia zagrożenia. Zrozumiałe zainteresowanie terroryzmem w drugiej połowie XX wieku i na początku XXI wieku – a po wydarzeniach 11.IX.2001 w szczególności – wywołuje pytanie, czy „stary” terroryzm różni się od „nowego”; a jeżeli tak, to czym?

Powstaje wrażenie, że fascynacja terroryzmem wywołana także przez media i nowoczesne środki komunikowania się doprowadziła do przedmiotowej segmentacji terroryzmu rozumianej jako występowanie starego zjawiska w nowych formach. O ile takie podejście jest trafne i uzasadnione faktami, o tyle podejście przesadne – często zresztą eksponowane w mediach – akcentuje rzekomą transformację „starego” terroryzmu w „nowy”, co mają potwierdzać formy w jakich występuje.

Można wyliczyć około 13 form współczesnego terroryzmu, np. chemiczny, biologiczny, radiologiczny, nuklearny, ekoterroryzm, cyberterroryzm, „jednej sprawy”, antyaborcyjny, motywowany religią, islamskiego fundamentalizmu, sekt religijnych, chrześcijańskich fanatyków (w USA), albo obrońców praw zwierząt. Coraz częściej ataków dokonują osoby psychicznie zaburzone z moty-



Prof. dr hab. Michał Chorośnicki

urodził się 26 lipca 1948 roku w Krakowie. Po ukończeniu II Liceum Ogólnokształcącego w Krakowie, w 1966 roku podjął studia prawnicze w Uniwersytecie Jagiellońskim. Zainteresowania zagadnieniami stosunków międzynarodowych i prawa międzynarodowego zaowocowały pracą doktorską pt.: „Polityka niezaangażowania w latach 1960-1975 (Rola i działalność państw Afryki)”. Tytuł doktora habilitowanego uzyskał na podstawie monografii zatytułowanej „Polityka Stanów Zjednoczonych wobec państw Afryki na południe od Sahary w latach siedemdziesiątych”. Prof. Chorośnicki jest jednym z pionierów polskich badań nad zjawiskiem terroryzmu i uznanym autorytetem w tej dziedzinie. Jest autorem ponad stu istotnych artykułów, recenzji, redakcji naukowych, referatów i ekspertyz. Znamca historii wojskowości i lotnictwa wojskowego, miłośnik kotów.

wacją lub bez (np. zamachowiec w Las Vegas, X. 2017).

Dyskusje o trafności takiego rozróżnienia można pominąć, tym bardziej że kryteria wyodrębniania są dyskusyjne. Jedno nie budzi wątpliwości. Terroryzm dzięki rozwojowi nauki i techniki i generalnie przez zmiany cywilizacyjne też podlegał ewolucji. Jest to proces ciągły. Byłoby zresztą dziwne, gdyby w dobie telefonii komórkowej, GPS-u i Internetu dzisiejsi terroryści używali do komunikowania się gońców i gołębi pocztowych. Z drugiej strony, te właśnie bardzo proste środki porozumiewania się są bardzo trudne do kontroli i przechwycenia. Nie dziwi więc, że kierownictwo Al-Kaidy porozumiewało się między sobą właśnie przy pomocy takich środków i umyślnych kurierów, z których każdy znał tylko fragment wiadomości.

Rzemiosło wojenne jest jednym z najstarszych znanych człowiekowi. Używano go w przeszłości, używa się obecnie i będzie się go używać w dobrej, słusznej – albo złej i nieczystej sprawie. Broń białą, trucizny i środki wybuchowe terroryści – lub grupy do nich podobne – stosowali „od zawsze”. Skutki jakie wywoływał terror bombowy dobrze opisuje książka o końcu XIX wieku znanej amerykańskiej eseistki i pisarki historycznej Barbary Tuchman. Terror ten stosowali wtedy w Europie anarchiści, ale skutki były podobne do dzisiejszych, co więcej nawet frazeologia ówczesnej prasy jest zbliżona do dzisiejszej.

Wynalazek dynamitu dokonany przez Alfreda Nobla i wprowadzenie nowoczesnych środków wybuchowych i zapalających zwanych dynamitami lub np. napalmem zainspirowało wyobraźnię terrorystów i zwiększyło możliwości wymierzania śmiertelnych cio-

sów. Obecnie nawet najprostsze środki bywają morderczo skuteczne. Użycie pojazdów mechanicznych do taranowania ludzi, broń biała i niewyszukana broń palna wszystkich rodzajów zbierają krwawe żniwo.

Rzeczony rozwój nowoczesnej broni strzeleckiej, w tym broni maszynowej i snajperskiej doprowadził do masowego jej użycia przez ugrupowania terrorystyczne. W wielu wypadkach legalne dostawy broni są przechwytywane – lub wykorzystywane – przez ugrupowania terrorystyczne, jak np. wielkokalibrowe karabiny snajperskie „Mannlicher” produkcji austriackiej, których używają snajperzy tzw. Państwa Islamskiego. Dotyczy to zresztą całej nowoczesnej technologii, którą łatwo uzyskać (ale na szczęście trudniej wdrożyć do produkcji), jak np. technologie chemiczne, trucizny lub rakiety z głowicą samonaprowadzającą, takie jak „Stinger” lub nawet „Patriot”.

Ogólnie można powiedzieć, że terroryści, jeśli idzie o środki, które stosowali, zawsze szli z duchem czasu, gdyż mieli – i mają nadal – doskonałe rozeznanie w istniejących rodzajach uzbrojenia i nowoczesnej technologii. Mówienie więc o „nowym terroryzmie” tylko dlatego, że może posłużyć się środkami radioaktywnymi, biologicznymi, chemicznymi lub nawet Internetem uważać należy za nieporozumienie. Jest całkowicie zrozumiałe, że cele terrorystów mogą się zmieniać i ulegają zmianom. Fakt, że terroryści używają nowych środków lub sposobów ataków (np. samoloty pasażerskie jako pociski sterowane), nie uprawnia do twierdzenia, że narodził się „nowy terroryzm”. Ataku terrorystycznego można dokonać zarówno środkami domowej roboty, takimi jakich użyto w ataku na budynek federalny w Oklaho-

ma City w USA w 1995 roku lub na środki komunikacji w Londynie w lipcu 2005 roku, jak i profesjonalnie wytworzonymi i potem skradzionymi materiałami wybuchowymi (Madryt 2004).

Ponad trzy dekady walki z terroryzmem doprowadziły do większej koordynacji działań, budujących bardziej zorganizowany system ochronny – w różnych obszarach zagrożeń. Na przykład Izraelski system ochrony lotnisk składa się z trzech głównych stref ochronnych. Każda z nich jest niezależna, jednak ich działania są zintegrowane operacyjnie i nakładają się na siebie, tworząc spójny, wspólny mechanizm ochronny. Te trzy strefy to: 1 – samolot, 2 – terminal lotniczy, 3 – obszar lotniska.

Filozofią Izraelczyków (wysokie sprawnych we wdrażaniu środków ochronnych) jest próba przewidzenia posunięć potencjalnego terrorysty, a następnie umieszczenie na jego drodze jak największej liczby najbardziej zaawansowanych technologicznie przeszkód. W efekcie osiągnięcie przez terrorystę celu wymaga pokonania przez niego wielopoziomowych zabezpieczeń. Każdy pokonany przez niego punkt kontrolny jest zastępowany następnym. Cały system jest postawiony w stan pogotowia, już przy próbie pokonania pierwszej przeszkody.

Strefą o najszerszym zasięgu jest wywiad. Opiera się on na krajowych i światowych agencjach. Jego zadaniem jest rozpoznanie zamiarów organizacji terrorystycznych i zdobywanie informacji na temat funduszy, dokumentacji i transportu broni dla terrorystów. Strefę tę uzupełniają bazy danych, stworzone przez instytucje rządowe, jak i te będące wynikiem ścisłej współpracy międzynarodowej.

Druga wewnętrzna strefa wymaga bardziej wzmoczonego wysiłku, składa się z pięciu kręgów. Obszarem lotniska i sąsiedztwem wokół niego zajmują się specjalne służby mundurowe.

Zadaniem ochrony terminali jest ochrona wszystkich przejść z wykorzystaniem elektronicznych i optycznych urządzeń kontrolujących. Chodzi tu o zachowanie szczelnego podziału między publiczną strefą terminalu, a strefą po kontroli paszportów, do której wstęp mają jedynie pasażerowie i osoby noszące identyfikatory. Do zadań ochrony należy również kontrola pasażerów podczas odprawy, w celu wychwycenia i wykrycia terrorystów – obserwowane zachowanie, sprawdzenie dokumentów i wiarygodny powód podróży. Osoby podejrzane oraz ich bagaż podlegają szczegółowej rewizji.

Ważne jest obchodzenie się z bagażem. Chodzi o różne techniki prześwietlania, zgodnie z wcześniej ustalonymi parametrami względem osób podejrzanych, dokonywanie sporadycznego prześwietlania wszystkich pasażerów, całkowitą kontrolę wszystkich bagaży podręcznych, oraz sprawdzenie ładowanego bagażu z listą pasażerów. Strefa dróg startowych i obsługi samolotów, ochrona wejść do samolotów przez widocznych strażników i służby tajne, eskortowanie pasażerów, ścisła kontrola listy pasażerów, dostęp do statku powietrznego jedynie dla osób uprawnionych – to kolejne elementy systemu bezpieczeństwa. Nawiasem mówiąc, przy okazji wzmocnienia kontroli antyterrorystycznej zaobserwowano w USA rosnącą falę kradzieży bagażu (walizek i zawartości walizek). Jest to fenomen trudny do wyjaśnienia, ale istniejący.

Krąg centralny to pokład samolotu. Do zadań ochrony powinno należeć umieszczenie na pokładzie uzbrojonych tajnych strażników na wszystkich rejsach. We wszystkich samolotach niezbędne są pancerne drzwi do kabiny pilotów, zamknięte na czas rejsu. Wszyscy członkowie załogi przechodzą szkolenie i mają wiedzę, jak zachować się w przypadku uprowadzenia samolotu. Ustalone zostają kody komunikacyjne między załogą a kabiną pilotów i procedury w wypadku zagrożenia.

Widać więc wyraźnie, że ochrona jest trudna, a samo rozpoznanie zagrożeń nie poprawia automatycznie stanu zabezpieczeń antyterrorystycznych. Doświadczeni w zwalczaniu terroryzmu Brytyjczycy prowadzą wg ostatnich danych ok. 500 spraw związanych z zagrożeniami terrorystycznymi, a mimo to próba zamachów jest wysoce prawdopodobna.

Trafnie rozpoznane zagrożenia potencjalnie wymagają stworzenia profesjonalnych struktur administracyjno-dowodczych. Pamiętać przy tym trzeba, że nie tylko lotniska muszą być chronione. Dotyczy to wszystkich dworców komunikacyjnych, metra, zgromadzeń o charakterze sportowym i religijnym. Deklaracje tzw. Państwa Islamskiego o uderzeniu w Rosję w czasie mistrzostw świata w piłce nożnej w 2018 roku z pewnością potraktowano z najwyższą uwagą.

Kolejne zagrożenie sprowadza się do możliwości ataku terrorystycznego wskutek nieuprawnionego dostępu do technologii nuklearnej, chemicznej i biologicznej, którą mogliby dla swoich celów wykorzystać terroryści.

Energia atomowa jako broń masowego rażenia pojawiła się w połowie lat 40-tych XX wieku. Zwiastunem nowej ery

była próbna eksplozja nuklearna dokonana w USA na poligonie Alamogordo w Stanie Nowy Meksyk 16 lipca 1945 roku. Do tzw. „Klubu atomowego”, czyli grupy państw dysponujących bronią nuklearną, dołączały stopniowo kolejne kraje i obecnie jest ich 7 (USA, Rosja, Wielka Brytania, Francja, Chiny, Indie, Pakistan). Kilkanaście innych państw z łatwością może wyprodukować broń nuklearną, niektóre na pewno mają ją w swoich arsenałach (Izrael), inne miały, lecz dobrowolnie z niej zrezygnowały (Republika Południowej Afryki).

Technologia nuklearna była i jest nadal nieustannie doskonalona. Niektóre wynalazki z sektora wojskowego, dla zastosowań czysto militarnych przeniesiono i zastosowano w sektorach cywilnych (elektrownie atomowe, medycyna, transport morski). Postęp technologiczny doprowadził do miniaturyzacji broni jądrowej. Warto przypomnieć, że bomba zrzucona na Hiroszimę (Little Boy) zawierała aż 64 kg uranu (HEU) a silniejsza zrzucona na Nagasaki (Fat Man) tylko 9 kg plutonu (PU). Od tego czasu broń jądrowa jest nieustannie modernizowana, a silny ładunek nuklearny może być zainstalowany w głowicy pocisku haubicy kalibru 203 mm.

Energia atomowa budzi lęk i grozę. Dzieje się tak, gdyż jest to wysoko-specjalistyczna gałąź wiedzy trudna do ogarnięcia i zrozumienia przez laika. Nasuwa się tu trafna uwaga Ryszarda Kapuścińskiego, że „lęk jest spowodowany pochodną niepewności, a niepewność jest skutkiem niewiedzy o przyszłości”.

Media podgrzewają atmosferę strachu i zagrożenia opisując zaistniałe wypadki i incydenty z udziałem energii atomowej. Awaryjne elektrownie jądrowe w Three Mile Island w USA

(1979) i w Czernobylu (1986) wywołały rezonans medialny nieproporcjonalny do rzeczywistego przebiegu wypadków i powstałych zagrożeń. Zrozumiałe, zagrożeń lekceważyć nie można, ale ich wyolbrzymianie wywołuje tylko dalszy wzrost nastrojów niepokoju i zagrożenia. Warto pamiętać, że według szacunkowych danych od początku ery atomowej w 1945 roku do roku 1985 na świecie zagubiono bądź stracono bezpowrotnie około 14 pełnowartościowych ładunków nuklearnych o mocy nawet do 5 megaton (pojedyncza bomba zgubiona w szczelinie lodu na Grenlandii w pobliżu bazy w Thule przez bombowiec strategiczny B-52 w 1960 roku miała moc 4 megaton). Fakt posiadania broni nuklearnej, a więc jednego z rodzajów broni masowego rażenia (WMD) wywołuje znaczące implikacje polityczne w skali globalnej i stanowi ryzyko dla porządku światowego.

Różne ugrupowania terrorystyczne z całą pewnością szukały i szukają możliwości uzyskania technologii i sposobów wytworzenia broni nuklearnej lub jej jawnego bądź skrytego przejęcia. Karl-Heinz Kamp przedstawia 8 obszarów zagrożeń, które mogą doprowadzić do wzrostu zagrożenia nuklearnego:

- słabo zabezpieczony rosyjski arsenał nuklearny,
- rosnący w siłę czarny rynek broni nuklearnej i materiałów rozszczepialnych trudny do kontroli,
- plany i informacje potrzebne do konstruowania broni nuklearnej są szeroko dostępne,
- państwa „bandyckie” lub „hultajskie” (Korea Płn., Iran, ew. Pakistan) mogą udostępnić lub sprzedać instalacje nuklearne różnym odbiorcom,

- największe potencjalne zagrożenie stanowią „brudne bomby” plutonowe lub uranowe,
- nieracjonalność postępowania terrorystów (głównie Al-Kaidy) rodzi ryzyko użycia broni masowego rażenia,
- terroryści mają możliwości i wolę użycia broni masowego rażenia, o ile ją uzyskają,
- terroryzm nuklearny stanowi „istotne zagrożenie” dla USA i tzw. potencjalnych państw-celów ugrupowań terrorystycznych.

Na szczęście jest to bardziej skomplikowane niż się wydaje. O ile przepis, bądź recepturę technologiczną uzyskać można bardzo łatwo (Internet!) o tyle składniki uzyskać bardzo trudno, a wyposażenie laboratorium jest tak wyrafinowane i trudne do skompletowania, że stanowi to przeszkodę niemal nie do przebycia; zwłaszcza w sytuacji, w której cały czas do dyspozycji są łatwiejsze do uzyskania środki, takie jak broń chemiczna, albo zróżnicowana gama środków konwencjonalnych o charakterze wybuchowym i zapalającym.

Według obecnej wiedzy ekspertów do wyprodukowania bomby nuklearnej trzeba mieć do dyspozycji około 25 kg wzbogaconego uranu (HEU) lub jako ekwiwalent około 9 kg plutonu (PU), wyrafinowane technicznie laboratorium kosztujące minimum 25 mln dolarów oraz doświadczoną kadrę inżyniersko-techniczną. Warunków tych dotychczas nie udało się na szczęście spełnić nikomu. Istnieje co prawda możliwość przetworzenia i detonacji tzw. brudnej bomby (RDD-Radiation Dispersal Devices), co precyzyjnie (choć bez najważniejszych szczegółów) opisał w swojej powieści Tom Clancy, niezjący już znany

pisarz amerykański. Lista tzw. groźnych pierwiastków promieniotwórczych, stworzona przez Międzynarodową Agencję Energii Atomowej, obejmuje poza pochodnymi plutonu i uranu 8 radioizotopów. Skutki użycia tych środków przez terrorystów mogłyby być również bardzo poważne, choć byłyby to głównie skutki długofalowe i pośrednie (zatrucie i skażenie środowiska naturalnego, choroby popromienne ludzi i zwierząt, itp.).

Nielegalny obrót materiałami radioizotopowymi i radioaktywnymi nasilił się po rozpadzie ZSRR w grudniu 1991 roku. Jednym z ważniejszych krajów tranzytowych takich produktów są Niemcy – z racji położenia geograficznego i licznych grup etniczno-narodowościowych mieszkających w tym kraju. W okresie 12 lat, według dostępnych danych gromadzonych w RFN przez odpowiednie komórki BKA i BND, zanotowano ogółem 20 incydentów związanych z próbą przemytu do Europy plutonu, uranu lub ich pochodnych oraz innych materiałów radioaktywnych. Przechwycono ogółem około 30 dkg takich substancji; zakładając, że przemytnicy skutecznie przemycili drugie tyle, to w sumie łącznie chodzi o około 60-100 dkg tych groźnych substancji. Nie ma więc mowy o samodzielnym wyprodukowaniu broni nuklearnej przez terrorystów, tzw. Samoróbki (IND – Improvised Nuclear Device), albo nawet tzw. “brudnej bomby” (RDD). W grę wchodzić może ograniczone obszarowo niewielkie skażenie, nie wywołujące poważniejszych skutków.

W ocenie jednego z najlepszych ekspertów istnieją następujące minimalne wymogi dla samodzielnego skonstruowania wybuchowego ładunku jądrowego (Autor ogranicza się do listy rzeczy najważniejszych):

- fachowcy dysponujący wiedzą podstawową i wysokospecjalistyczną (wiedza o fazach temperaturowych),
- dostęp do warsztatu z oprzyrządowaniem i obrabiarkami zdolnymi do obróbki detali do 0.000003-mikrona i minimum 25 tys. obrotów na minutę,
- dostęp do mierników laserowych, wagi superelektronicznej, superwentylacji pomieszczenia oraz próżni całkowitej,
- posiadania zabezpieczonego przed promieniowaniem i stratami materiału wyjściowego do produkcji jednego ładunku 25 kg wzbogaconego uranu (HEU) lub 9 kg plutonu (PU),
- sprawne zapalniki (około 50 kg) z przełącznikami krytonowymi,
- zabezpieczenie maszynowo-konstrukcyjne laboratorium (wyważenie i kalibracja maszyn),
- zaopatrzenie w energię elektryczną odpowiadającą potrzebom co najmniej siedemdziesięcioletniego miasta,
- oprzyrządowanie i czujniki elektroniczne, zapasy freonu, argonu, chłodziwa, wody, ciężkiej wody, pompy wysokociśnieniowe,
- środki finansowe co najmniej 25 mln USD.

W świetle podanych wymogów nie dziwi, że państwa dysponujące obecnie bronią jądrową konstrukcją i aktywacją tych broni powadzą w izolowanych i bardzo dokładnie strzeżonych zamkniętych obszarach lub ośrodkach, np. USA w Oak Ridge, oraz w Uranium City nad Jeziorem Athabasca w Prowincji Saskatchewan w Kanadzie, Rosja w ośrodkach Ural-3 i Almaz-1, itd.

W skali całego świata, według danych Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, sytuacja jest poważniejsza. W latach 1993-2003 wzrastała ilość incydentów związanych z przewozem i dys-

trybucją materiałów określanych i klasyfikowanych przez Agencje w dwóch kategoriach: pierwszą jako materiały nuklearne, materiały nuklearne i inne materiały radioaktywne łącznie, oraz inne, drugą jako inne materiały radioaktywne oraz materiały skażone radioaktywnie. Według potwierdzonych przez MAEA wypadków przemytu w celach handlowych w latach 1993-2003 łącznie waga przemycanego wzbogaconego uranu (i pochodnych) osiągnęła 8.35 kg.

W świetle wskazanych danych jest jasne, że zagrożenie terroryzmem nuklearnym w sensie samodzielnego skonstruowania ładunku nuklearnego przez grupę terrorystyczną (tzw. IND) jest znikome, choć oczywiście niewykluczone w przyszłości.

Użycie broni chemicznej (i broni pochodnych) wydawać się może tańsze i znacznie prostsze. Pośrednim dowodem jest terrorystyczny atak gazowy z użyciem znanego gazu bojowego sarin na metro w Tokio w marcu 1995 roku, dokonane przez sektę Najwyższa Prawda. Koszt wytworzenia sarinu oceniono na około 2 mln USD, na szczęście niemożność dotrzymania pełnego reżimu technologicznego w procesie produkcji i deszczowa, wilgotna pogoda spowodowały osłabienie działania gazu i śmierć „tylko” 12 osób, oraz zatrucie około 600 osób. W sprzyjających warunkach pogodowych, zdaniem ekspertów, liczba ofiar śmiertelnych przekroczyłaby 1000 osób!

Na razie najpopularniejszym środkiem stosowanym przez terrorystów są materiały konwencjonalne, z których część jest do kupienia w sklepach z urządzeniami gospodarczymi i oczywiście paliwa płynne, dostępne na stacjach benzynowych.

Trwają poszukiwania udoskonalonego płynnego materiału wybuchowego – podobno takowy jednak nie istnieje, wbrew doniesieniom mediów.

Ważną środkiem walki terrorystów jest szukanie luk w systemach bezpieczeństwa lub niekonwencjonalne środki w postaci samolotów z paliwem użytych jako pociski kierowane (wariant użyty 11/09/2001). Powstaje pytanie: czy istotnie zagrożenie tzw. terroryzmem nuklearnym jest realne czy też przesadzone? Katalog obszarów ryzyka nuklearnego jest współcześnie zróżnicowany. Może to być:

1. kradzież lub sabotaż urządzeń nuklearnych dla demonstracji lub szantażu,
2. zatrucie radioaktywne wody lub instalacji centralnego ogrzewania,
3. atak na reaktor nuklearny lub inne urządzenia dla wywołania alarmu, ale bez wywołania radiacji i skażeń,
4. przechwycenie lub kontrola reaktora dla celów szantażu,
5. sabotaż reaktora lub składu nuklearnego dla stopienia lub pożaru materiałów radioaktywnych,
6. groźba nuklearna dla żartu, ale z poziomami prawdopodobieństwa,
7. odpalenie RDD (brudnej bomby – Radiation Dispersal Device),
8. zniszczenie składu nuklearnego przez wywołanie pożaru,
9. odpalenie IND (Improved Nuclear Device),
10. zniszczenie reaktora przez stopienie rdzenia, zatrucie środowiska (para) lub uwolnienie radiacji,
11. odpalenie broni nuklearnej z arsenału państwowego.

W świetle dostępnych obecnie danych należy wykluczyć możliwość samodzielnego skonstruowania przez terrory-

stów ładunku nuklearnego. Przemawiają za tym liczne ograniczenia technologiczne i techniczne, a także trudność w pozyskaniu specjalistów wysokiej klasy, umiających wykorzystać w praktyce posiadaną wiedzę. Środki konwencjonalne i po części chemiczne są znacznie łatwiejsze do pozyskania i wykorzystania, a nade wszystko do dystrybucji i przewozu.

W grę wchodzi jednak inne rozwiązanie, groźniejsze, polegające na tym, że już obecnie nie można wykluczyć możliwości przekazania do dyspozycji grupy terrorystycznej wybuchowego urządzenia nuklearnego wyprodukowanego z zachowaniem reżimu technologicznego pod nadzorem państwowym. Możliwość zaopatrzenia np. Hezbollachu przez Iran w ładunek nuklearny (z chwilą gdy Iran osiągnie zdolność samodzielnej produkcji tych ładunków) jest prawdopodobna. Podobnie nie można wykluczyć np. wystawienia do licytacji wśród zainteresowanych grup terrorystycznych bomby nuklearnej wyprodukowanej w Korei Północnej. Ugrupowanie Bin-Ladena i tzw. Państwo Islamskie wydaje się prawdopodobnym nabywcą zwłaszcza, że Stany Zjednoczone dla niego i Korei Północnej są śmiertelnym wrogiem.

Warto też zastanowić się także nad motywacjami przyświecającymi potencjalnym terrorystom nuklearnym. Zdaniem jednego z ekspertów terroryści nigdy jeszcze nie wykorzystywali broni nuklearnej w celu dokonania ataku, a jednym z powodów jest to, że nie osiągnęli oni jeszcze szczytu możliwości zabijania przy użyciu broni konwencjonalnej, tak więc nie muszą być zbyt innowacyjni.

Jedną z możliwych motywacji dla pojawienia się terroryzmu nuklearnego jest

sytuacja, gdy dana grupa stwierdzi, że nie ma już nic do stracenia. Gdy ugrupowanie uświadamia sobie, że następuje jego upadek, że rozpada się na frakcje albo jest wykorzystywane przez inną grupę, może sięgnąć po terroryzm nuklearny, aby usprawiedliwić i nagłośnić swoje istnienie. Ideologia niszczy opory moralne przed terrorem i prowadzi do powstania luki między "nimi" a „nami”. Jeżeli jakiś czyn, niezależnie od tego, jak straszny, działa na rzecz „sprawy”, wtedy – z definicji – musi być dobry.

Terroryści religijni wydają się być bardziej skłonni od innych grup terrorystycznych do zwrócenia się ku broni nuklearnej. Czasami religia (w szczególności zdegenerowana, np. tzw. Państwa Islamskiego) ma legitymizującą moc, wymuszając całkowitą lojalność i poświęcenie. Może usprawiedliwiać moralnie, a nawet wymagać stosowania nie liczącej się ze skutkami przemocy. Grupa religijna może dążyć do fizycznej likwidacji jakiejś części społeczeństwa, nie będąc związaną czynnikami politycznymi, praktycznymi ani moralnymi, które ograniczają działania innych. Inne grupy mogą też czuć się mniej ograniczone, jeżeli mogą stosować groźby użycia broni nuklearnej albo zdobyć taką broń, natomiast jej nie zdetonować.

Rządy demokratyczne mają ograniczone możliwości radzenia sobie z problemem terroryzmu nuklearnego, jednak muszą stosować wszystkie możliwe środki zapobiegawcze. Łatwe cele, w rodzaju reaktorów atomowych albo konwojów przewożących materiały nuklearne, mają coraz silniejszą ochronę. Niektóre państwa opracowały plany reagowania w sytuacjach kryzysowych, np. w USA utworzono wyspecjalizowany zespół do spraw poszukiwań w przypadku zagro-

żenia nuklearnego (US Nuclear Emergency Search Team – NEST), który służy Federalnemu Biuru Śledczemu swoim wsparciem technicznym i naukowym. Zespół ten zajmuje się wszystkimi potencjalnymi sytuacjami zagrożenia nuklearnego i jest wyposażony w sprzęt do poszukiwania i odzyskiwania zagubionych lub skradzionych materiałów rozszczepialnych oraz do dezaktywacji urządzeń domowej produkcji. Ponieważ jednak żaden potencjalny cel nie może być nigdy całkowicie bezpieczny, najlepszym środkiem zapobiegania terroryzmowi nuklearnemu jest efektywna działalność wywiadowcza. Wywiad pełni także rolę w promowaniu nierozprzestrzeniania materiałów nuklearnych, poprzez zapewnienie respektowania przez mocarstwa atomowe porozumień, takich jak układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

Najważniejszym problemem w zwalczaniu terroryzmu nuklearnego na świecie są ograniczenia finansowe. Posiadane środki muszą być wydawane w zależności od sytuacji i oceny aktualnych zagrożeń. Nie jest to jednak idealne rozwiązanie dla tego stale narastającego problemu. Część decydentów na świecie nie zdaje sobie z tego sprawy.

I jeszcze jedna różnica, zmieniająca warunki psychologicznej obrony: tzw. „stary” terroryzm miał nadzieję na zaostrożenie konfliktu między państwem a obywatelami, usiłował sprowokować „represyjne” państwo do jeszcze silniejszych represji i w ten sposób bardziej oddalić je od jego liberalnych krytyków. „Nowym” terrorystom tego rodzaju wewnętrzne konflikty są całkowicie obojętne, ponieważ właśnie o to oskarżają państwa i społeczeństwa: że są zbyt libertyńskie – niepohamowane i bezbożne jednocześnie.

A wracając do tezy, że po 11 września 2001 roku wszystko jest inne i nowe warto przytoczyć opinię Zbigniewa Brzezińskiego, że „od wydarzeń z 11. IX.2001 każda grupa terrorystyczna planująca własną działalność będzie używać tej daty jako punktu odniesienia dla własnego powodzenia”.

Trudno więc mówić o „nowym” terroryzmie w sensie jakościowym jeśli idzie o powiązania motywacyjno-celowościowe. Natomiast jeśli idzie o nowe formy działań terrorystycznych i zdolność adaptowania do swoich potrzeb wynalazków technicznych i technologicznych, to konfrontacja między terrorystami a antyterrorystami przybiera na sile. Jest to niekończący się wyścig między pociskiem a pancernem – im grubszy pancierz tym lepszy pocisk po to, by go przebić. Władze i społeczeństwa państw świata powinny o tym pamiętać. □



JÓZEF KABAJ

Bóg i John C. Lennox, matematyk

W przedmowie do swojej książeczki pt. *Bóg i Stephen Hawking*, podtytuł: *Czyj to w końcu projekt* (Wydawnictwo Polskiej Prowincji Dominikanów *W drodze*, Poznań 2017) jej autor John C. Lennox zastrzega się wprawdzie, że jej temat nie należy do jego dyscypliny, wobec czego prosi czytelników o „skrupulatną analizę” jego argumentów (s. 9-10), jednak zaraz potem – we wstępie – konstatuje, że skoro „wszyscy dzisiaj mówią o Bogu” (w tym naukowcy), oraz w sytuacji, kiedy „wiele osób coraz bardziej świadomych tego, że korzyści materialne, które daje nauka, nie zaspokajają najgłębszych potrzeb naszego człowieczeństwa, zwraca się do naukowców, by dowiedzieć się od nich, czy mają coś do powiedzenia w kwestii ważkich pytań dotyczących naszej egzystencji. Dlaczego istniejemy? Po co żyjemy? Dokąd zmierzamy? Czy ten Wszechświat to wszystko, co istnieje, czy też jest jeszcze coś poza nim?”; i następny akapit rozpoczyna słowami: „Tego rodzaju pytania każą nam nieuchronnie myśleć o Bogu” (s. 11-12), wynika z tego, że... i on również, jako naukowiec, może się wypowiedzieć.



1. Nauka inaczej, czyli swoista logika wywodów profesora Green Templeton College i Wycliffe Hall

Jak się dowiadujemy z okładki, prof. John C. Lennox jest „matematykiem,

członkiem Green Templeton College (Nauki Matematyczne i Filozofia Nauki) oraz Wycliffe Hall”, a przy tym wszystkim apologetą, czyli obrońcą wiary (chrześcijańskiej). Z Google i Wikipedii dowiadujemy się natomiast, że są to oksfordzkie szkoły policealne, wyznaniowe, z misyjnym zacięciem. Może więc określanie Autora mianem „członka Green Templeton College i Wycliffe Hall” jest sugestią, iż jest on kimś więcej, niż wykładownicą półwyższej uczelni? Tak czy owak, skoro podjął się starcia z samym Hawkingiem, z pozycji sygnalizowanej w tytule książeczki („Bóg i Stephen Hawking” – brzmi to jak ustawienie proporcji, niepełnej symetrii), jak również z pozycji nauki (bo „miliony z nas chcą wiedzieć, co ma o Nim do powiedzenia nauka”), to i my spróbujmy się dowiedzieć, co matematyka odpowiada na powyżej postawione pytania. Albo raczej ograniczmy się do skrupulatnej (na miarę naszych możliwości) analizy samych tylko też i pytań, postawionych przez Autora we wstępie, znaczących jego zdaniem dla milionów ludzi i nurtujących owe miliony (s. 12).

Najpierw więc przyglądnijmy się tezie głównej i zapytajmy (retorycznie), czy istotnie „wszyscy dzisiaj mówią o Bogu”? Jako historyk religii („religij”), filozofii starożytnej i średniowiecznej, filolog klasyczny i adept filozofii religii (religij), mam tu poważne zastrzeżenia metodologiczne. Po pierwsze, nawet w trybie popularyzacji nauki nie należy – wręcz nie wolno – odchodzić od reguły,

by nie stosować w argumentacji kwantyfikatorów wielkich typu *zawsze, nigdy, każdy, wszyscy*; A już szczególnie gdy chodzi o przesłanki wnioskowań. Po drugie, należy unikać wartościowań. Jeżeli bowiem wyraz „bóg” nie jest imieniem własnym, w takim razie pisanie tego wyrazu dużą literą zdaje się sugerować, że „Bóg” to coś lepszego i większego, niż „bóg” i „bogowie”. Boć przecież – rozumiem zapewne apologeta – bogowie to tylko ludzkie wyobrażenia, jakieś personifikacje (sił przyrody bądź ludzkich emocji). Natomiast Bóg jest Osobą. W Trzech Osobach – i w ogóle przekracza wszelkie wyobrażenia; a nawet pojęcia (Wielki Niepojęty). Otóż ateści od głębokiej starożytności (jak daleko sięgają przekazy pisane), a za nimi agnostycy, nie mówią o bogu ani bogach inaczej jak tylko „szkodliwe wyobrażenia ludzkie”, lub że niczego innego nie można powiedzieć poza tym, że są to przedmioty ludzkich rojeń i emocji. Uczni zaś niebędący apologetami lub psychologami mówią – niektórzy nawet piszą – krótko: nie dysponujemy w tej materii danymi podlegającymi weryfikacji lub falsyfikacji.

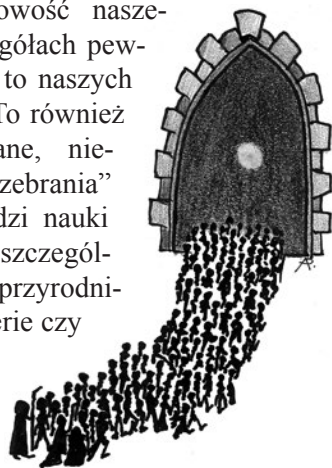
Druga teza, nieco zamaskowana w podtytule książeczki, sugeruje, że świat, określany też – przez autora i innych apologetów – „tym Wszechświatem”, jest „czyimś projektem”. Skąd to wiadomo? Można przypuszczać, że raczej z teologii niż z matematyki czy fizyki. A więc kolejna teza: teologia jest równoważna naukom przyrodniczym. Gdzie wyraz niekoniecznie musi znaczyć tylko to, co znaczy. Wszak Wszechświat może być jednym z wielu wszechświatów! Tylko co z samym pojęciem Wszechświata? Wszechświat nie oznaczający tego wszystkiego, co jest? Bo obejmuje również to, czego nie ma? Absurd za absurdem. Też stara metoda, jak *docta ignorantia* (uczona niewiedza, Pawłowy

oksymoron) czy *teologia negatywna* (lepiej mówić, czym Bóg nie jest, by Mu nie uchybiać nieadekwatnymi atrybutami – Ojcowie Kapadoccy). Alogiczna logika.

Przejdźmy teraz do sygnalizowanych we wstępie Autora pytań, które „każą nam nieuchronnie myśleć o Bogu” (kolejna zakamuflowana nieco teza: pytania każą). Pierwsze: „dlaczego istniejemy?” Znowu zakładanie z góry, że istnienie ma powód. Jak i to, że było, kiedy (niczego) nie było. Co było? Wiadomo, Bóg. Czyli to, czego nie ma... W zwykłym rozumieniu, rzecz jasna. Bo – jak pisał Maksym Wyznawca – bytem (istnieniem) wszystkiego jest boskie Ponadistnienie. Niepoznawalne dla człowieka. Koniec. Aha, także Początek. Gdzie tu logika?

Drugie: po co żyjemy? Zakłada się tutaj celowość naszego życia. W szczegółach pewnie także dotyczy to naszych chorób i śmierci. To również jest skomplikowane, niepojęte, nie do „rozebrania” za pomocą narzędzi nauki oraz aparatury poszczególnych dyscyplin przyrodniczych. Jeżeli bakterie czy wirusy istnieją po to, by nam dokuczać, to powstaje pytanie, jakim prawem odbiera się im to ich prawo do istnienia (i dokuczania)?

Trzecie pytanie, „dokąd zmierzamy”, jest tak samo nieuzasadnione – inaczej: źle postawione – jak pytania poprzednie. Zakłada się w nim bowiem, że dokądś zmierzamy. Kto zmierza? Jak to kto, my! Cały naród? Ludzkość? Bez pytania, czy chcemy? Ani dokąd? Do raj? Którego? Niegdyś zmierzaliśmy ku świetlanej przyszłości. Trwało to kilkadziesiąt lat,



aż cofanie się stało się nazbyt widoczne i zgubne w dłuższej perspektywie. Ale prof. Lennoxowi zapewne nie o tamto nieudane zmierzanie chodzi. W takim razie o które (i dokąd)? Było jeszcze kilka innych zmierzań, nie do końca udanych. Może chodzić o to przeznaczone Narodowi Wybranemu, który musiał wpierszyć pomnożyć (*Będę ci błogosławił obficie i rozmnożę tak liczne potomstwo twoje jak gwiazdy na niebie i jak piasek na brzegu morza (...) – Rdz. 22,17*)? A może o to muzulmańskie zmierzanie, też szeroko zakrojone geograficznie i demograficznie? Była również szeroko zakrojona doktryna Czystej Ziemi (ambicje hitlerowskich Niemiec czy mikadyzmu japońskiego), która również nie wypaliła. Tzn. wypaliła wiele, lecz samą siebie także. Na razie. Bo dla obecnego w Europie fundamentalizmu chrześcijańskiego (z ostatnimi bodaj jego bastionami w naszym Kraju) wyrasta konkurencja... saraceńska. Ale czy znajdziemy sojuszników w tej „wojnie krzyżowej”, na którą się zanosi? W pewnych kręgach pałki już przygotowano i już się ostrzy miecze, tj. maczety. Oficjalnie powołuje się obronę terytorialną, wnioskuje się ustawę o powszechnym dostępie do broni.

Wygląda więc na to, że wielu wie, „dokąd to wszystko zmierza”. Organizuje się też bardziej wyrafinowane środki sterowania we „właściwym” kierunku, w rodzaju publikacji popularnych (jak ta Lennoxowa) lub o wyższych ambicjach (jak np. uczone dzieła ks. prof. Józefa Hellera, profesora nauk teologicznych, doktora kosmologii relatywistycznej), albo nawet międzynarodowe konferencje w rodzaju ostatniej, firmowanej przez prof. Ryszarda Legutkę (profesora filozofii, tłumacza Platona) jako trzeci już Kongres w Obronie Chrześcijan (w Hotelu Europejskim w Krakowie, 17 listopada b.r.).

Wreszcie pytanie kluczowe, postawione przez prof. Lennox w wstępie do jego książeczki: *Czy ten Wszechświat to wszystko, co istnieje, czy też jest jeszcze coś poza nim?* Zasadność tego pytania była podważana wielokrotnie przez wybitnych uczonych, co zostało w skrócie unaocznione przeze mnie nieco wyżej.

2. Reinterpretacja apologetyczna opozycji wiara≠nauka

Lennox w swojej uwspółcześnionej apologetyce stawia na wierzących naukowców. Precyzuje – w swoim mniemaniu i odwołując się do przeświadczenia grup religijnych naukowców, opartego na ich przekonaniach, że właściwie nie ma konfliktu między nauką a wiarą, skoro jest niezaprzeczalnym faktem ich naukowość i religijność. Jest natomiast opozycja ateizmu względem teizmu.

Takie stawianie sprawy, jakże częste w prasie wyznaniowej i działalności katechetycznej czy homiletycznej, jest zabiegiem kamuflującym odwieczny konflikt pomiędzy hierarchami duchownymi, magami, wieszczkami i w ogóle nawiedzonymi różnorakiego „upierzenia” a uczonymi z prawdziwego zdarzenia (nie tylko w samym Piśmie). To porównanie z upierzeniem wzięło się stąd, że (czarownicy zawsze podkreślają strojem swoją niezwykłość (tak w starożytnym Egipcie jak na dziewiętnastowiecznych preriach amerykańskich). Na skutek tego konfliktu, którego podstawą był wzrost autorytetu uczonych (już w starożytności, jak to poświadcza choćby Platon i sprawa jego mistrza Sokratesa, skazanego na śmierć za wprowadzanie obcych bogów i psucie młodzieży), którzy nie poddawali swoich odkryć ocenie czy aprobachie władzy religijnej. Wielcy odkrywcy nieraz ukrywali swoje

wynalazki lub nie rozgłaszali wymowy światopoglądowej swoich odkryć (da Vinci, Kopernik), względnie je zawieszali na jakiś czas (Galileusz). Ci zaś, którzy się upierali – ponosili dotkliwe konsekwencje: od izolacji połączonej z zakazem publikowania wyników badań po spalenie na stosie (Giordano Bruno).

Rzecz w tym, że nie wszyscy pracujący w nauce, zwani naukowcami, lub ją przekazujący jako nauczyciele, są prawdziwymi uczonymi, czyli odkrywcami trzymającymi się metodologii naukowej sprawdzonej pod względem skuteczności, oraz procedur wypróbowanych pod tym samym względem.

3. Porażka zaciętego sekularyzmu?

Taką tezę Lennox odwraca uwagę (s. 13) od częstego dzisiaj wypisywania się wiernych z Kościołów. Przysłania to zjawisko tezą o „znaczącym wzroście zainteresowania Bogiem”, skutkiem czego (jakoby) „pytanie o Boga pnie się coraz wyżej na liście istotnych dla nas kwestii. (...) Zrozumiałe jest zatem, że tego rodzaju trend budzi wściekłość (sic – JK) propagatorów sekularyzmu, zwłaszcza naukowców deklarujących ateizm. (...) Richard Dawkins, nadal na czele sfory (sic – JK), gorączkowo podkreśla potencjometr, z głośnego krzyku przechodząc we wrzask, gdy załamuje się logika jego wywodu (...)” (tamże, s. 13-14).

Mało tego: Dawkins „krzyczy” – pisze dalej nie na żarty zirytowany Lennox – plakatami oraz „letnimi obozami ateistycznymi dla dzieci” itp. (s. 14). Tak jakby nie krzyczały dzwony kościołów i megafony podczas plenerowych nabożeństw wyznaniowych (w tym procesji ze stacjami, np. w Boże Ciało), jak i wzmacniacze akustyczne przewodników pielgrzymek religijnych. A jeśli chodzi o „ateistyczne obozy letnie dla

dzieci”, to jak się ma ich skala do powszechnej praktyki prowadzenia już bardzo małych dzieci do kościołów na specjalne dla nich nabożeństwa, jak się ma do katechizacji wdrażającej nieprzerwanie przez kilkanaście lat – od przedszkola po studia wyższe – w tryby życia religijnego i takowego myślenia, rozbieżnego z racjonalnością (w tym: z logiką) i naukowym poznaniem? I do etatowej pracy kapelanów nad urabianiem dusz wiernych w szpitalach, w szczerkowym (u nas) wojsku, w służbie granicznej (też na wymarcu), oraz w policji i w straży pożarnej. Nawiasem: ponieważ te dwie ostatnie formacje mają zupełnie odmienną tendencję rozwojową, absolwenci seminariów duchownych mogą liczyć na pełne i dobrze płatne etaty w tych dwu rodzajach jakże niebezpiecznych służb; zapewne jeszcze w paru tajnych. W szpitalach także ciężka praca, gdy niedostatek lekarzy. By nie wspomnieć o trudzie egzorcystów przy wypędzaniu złych duchów z ludzi, zwłaszcza dzieci. To nie jest porównywalne z takim np. poświęcaniem aut czy dróg coraz lepiej utwardzanych przez drogowców.

4. Chór ateistów pod dyktando Stephena Hawkinga?

Lennox: „(...) do chóru ateistów dołączył potężny głos przedstawiciela nauk przyrodniczych, a mianowicie głos fizyka, Stephena Hawkinga. Publiczne wyznanie ateizmu (! – JK: a-teista nie wyznaje, jak już samo to określenie mówi) przez osobę takiego intelektualnego kalibru jak Hawking nakreśliło jeszcze bardziej całą dyskusję.” (tamże, s. 15). Ja zaś (JK) jestem przeświadczony, że Hawking – uczonego fizyka „takiego kalibru” nie dyskutuje na ten temat, że nie ma takiej potrzeby ani celu. Brał kiedyś udział w spotkaniu w Castelgandolfo i podzielił się swoimi wrażeniami

stamtąd w swojej *Krótkiej historii czasu*. Wyraził zadowolenie, że Jan Paweł II nie był obecny podczas jego wystąpienia. Gdyby chciał dyskutować z Papieżem – wyraziłby ubolewanie.

Lennox stawia przy tym jeszcze jedno „merytoryczne” pytanie: „Czy Arcymistrz Fizyki zaszachował Projektanta Wszechświata?” (tamże, s. 16). Jest to tak niedorzeczne pytanie i w ogóle zdanie, że nawet dziecko nie bywające na „wakacyjnych obozach ateistycznych”, lecz tylko wdrożone w elementarne zasady logicznego myślenia (zwłaszcza rozumiejące sens i potrzebę stosowania zasady Arystotelesowej niesprzeczności), zwróci niechybnie uwagę na jego nie stosowność. Fizycy współcześni często używają subtelniejszego sformułowania „niewłaściwie postawione” w odniesieniu do tego rodzaju pytań. Bo gdyby nawet przyjąć do rozważenia – roboczo – hipotezę o istnieniu owego Projektanta, wnet się okaże ona bezpłodną, jako niczego nie wyjaśniająca i nie mająca skutecznego zastosowania ani w teorii, ani w praktyce. A tak zwyczajnie myśląc, nawet potocznie: jak można mówić o możliwości „gry” człowieka – a nawet jakiejś większej nieco grupy ludzi – z „kims” górującym jakoby nad wszechświatem jako jego twórca? W dodatku w kategoriach potyczki? Lennox dodaje tu ironicznie: „To bezsprzecznie wspomniały powód do chluby twierdzić, że skazało się Boga na wygnanie.” (tamże). Zauważamy: przenośnia za przenośnią (Projektant, wygnanie Boga). Co jedna to bardziej nośna. Publicystycznie. Z nauką w powszechnie przyjętym znaczeniu nie mające pola wspólnego. Jak również w codziennej praktyce rozpoznawania związków przyczynowo-skutkowych oraz w trudzie efektywnych działań, zatem poza sferą mistycznych uniesień, rzecz jasna.

Jak np. Lennox charakteryzuje swojego adwersarza w 1 rozdziale swojej książki (zanim dobierze mu się do skóry)? Pisz o nim już w 1 zdaniu tego rozdziału, że jest on „bez wątpienia najsłynniejszym z żyjących dzisiaj naukowców”. Ta wstępna cenzurka nie oznacza jednak uznania dla wybitności, lecz dotyczy słynności. Chciałoby się powiedzieć „głośności”, ale się nie da, jako że Hawking z powodu znacznego paraliżu nie mówi, lecz porozumiewa się za pomocą specjalnej techniki czytania z ruchu jego gałek ocznych (zrobiono nawet synteza tor tej jego „mowy”). Po podaniu krótkiej charakterystyki pozytywnej przedmiotu i znaczenia badań Hawkinga Lennox przechodzi zaraz do insynuacji, że (jako by) Hawking zajmował się (w domyśle: głównie) „początkiem Wszechświata”; a w takim razie „musiał zająć się kwestią istnienia Boga Stwórcy” (s. 18). Uwaga (moja): pułapka erystyczna. Hawking – jako fizyk – nie zajmował się i nie zajmuje kwestią „początku Wszechświata”, lecz – między innymi – pytaniem o początek „tego wszechświata” – być może niejedynego z „wszechświatów” (alternatywnych). A zatem pisze o dostępnym pojęciowo oraz instrumentowo świecie rzeczy danych ludzkiemu poznaniu; w odróżnieniu od w istocie niepoznawalnego Wszechświata, o którym mówią teologia i mistycy. Przy takim podejściu hipoteza mówiąca o Bogu Stwórcy nie nasuwa się sama przez się jak chce Lennox i jego *consortes*. Zwłaszcza zaś Hawkingowi. Zatem nie musiał się zająć „kwestią istnienia Boga Stwórcy”, ani się nią w ramach swojego warsztatu fizyka teoretycznego nie zajmował i nie zajmuje, o ile wiadomo.

Następnie Lennox zapowiada swoje przejście do wniosków, jakie Hawking „wyciąga z nauki, którą tworzy, na temat istnienia, a właściwie nieistnienia

Boga” (s. 20). Ale nie od razu, bo najpierw rozprawia się z jego niedocenianiem filozofii, wręcz ignorancją filozoficzną, metodologiczną i logiczną, oraz z przecenianiem przez niego naukowego poznania. Ucieka się przy tym Lennox do argumentu często podnoszonego przez reprezentowaną przez niego formację, że „nauka nie potrafi odpowiedzieć na podstawowe i dziecinne pytania dotyczące pierwszych i ostatnich rzeczy; na pytania w rodzaju: Jak to się wszystko zaczęło? Po co tu jesteśmy? Jaki jest sens życia? (s. 24). Czyli zakłada, jak wielu innych „metafizyków”:

- a) że wymienione pytania są podstawowe dla objaśniania świata i osiągania zamierzonych skutków działań (choć są one zarazem dziecinne, co może także znaczyć, że niekoniecznie poważne),
- b) że „wszystko” (jakże nieostre badawczo jest to pojęcie) się zaczęło, inaczej: musiało się zacząć, bo „wszystko się zaczyna”,
- c) że istniejemy po coś, czyli że jako gatunek mamy jakiś cel (w domyśle: zadany nam),
- d) że życie ma sens (pewnie także zadany).

I wkrótce potem powołuje Feynmana, laureata Nobla, który powiedział: „Wielkie nagromadzenie wiedzy na temat tego, w jaki sposób działa świat fizyczny, przekonuje nas jedynie, że z tym działaniem jest związana pewna bezsensowność.” (s. 25-26). Wystarczy?

Pierwszym z „wniosków” Hawkinga inkryminowanych u Lennox jest to, że ludzie wymyślili bogów w dawnych czasach „z braku wiedzy o tym, jak funkcjonuje natura” (s. 28). następnie: „Hawking (...) twierdzi, że w fizyce nie ma już miejsca dla Boga, gdyż fizyka wyeliminowała ostatnią lukę, w której można by Go znaleźć, czyli moment stworzenia.” (s. 29). Chodzi tu głównie o książeczkę



Hawkinga pt. *Krótką historią czasu* (mamy ją w przekładzie na język polski).

I tak dalej, i tym podobne argumentowanie, którego nie warto przytaczać. Po powyższych stwierdzeniach okazuje się bowiem czarno na białym – przy tak dalece zróżnicowanych metodach zarówno poznawania świata, jak i całkowicie odmiennych metodologiach dyskursu – że właściwie nie ma w przypadku książki Lennox warunków do prowadzenia dysputy. Można co najwyżej dyskutować w trybie wieczowej polemiki, czyli ścierania się bardziej zastyłymi – no i mocno zastarzałymi – postawami, niż ugruntowanymi i zweryfikowanymi w praktyce życia stanowiskami. Tym bardziej nie można się spodziewać odpowiedzi Hawkinga na nią. Nie ta „konkurencja” i nie ta „liga” (w znaczeniu sportowym). Nadzieja w tym, że to stan ducha prezentowany przez Lennox ma charakter co najmniej przejściowy, a może i schyłkowy. Jak i w tym, że wydarzenia – tak w świecie w ogóle, jak w nauce i w obszarze ludzkiej samoświadomości – przyspieszają w postępie geometrycznym. Ciekawe, kogo wymiecie wiatr historii. Z Biblii wiadomo, że „Duch tchnie kędy chce”. Są poza tym ciekawsze poznawczo oraz głębsze od tych „dziecinnych” tematy i pytania. □

JAN CZAJKOWSKI

Natura *sacrum* i jego społeczna funkcja w religiach kosmocentrycznych, cz. 2 (ciąg dalszy)

3. Sacrum w religiach żywych

a) sacrum w religiach plemiennych



Foto zaczerpnięto ze strony internetowej Religie Świata, ilustracja materiału będącego urywkiem pracy Andrzeja Szyjewskiego Religie czarnej Afryki. Źródło: źródło:http://www.opoka.org.pl/biblioteka/I/IR/czarna_afryka_00.html

Znawcy problematyki podkreślają, że zrozumieniu religii, a zwłaszcza filozofii ludów zorganizowanych w afrykańskie i nie tylko afrykańskie tradycyjne plemiona, przeszkadza nam nasz europejski sposób myślenia ukształtowany przez filozofię najpierw grecką, następnie chrześcijańską, wreszcie przez filozofię nowożytną. Analizie filozofii i religii pierwotnych ludów afrykańskich poświęciło swe prace badawcze wielu autorów zachodnioeuropejskich. Z polskich naukowców najlepszej i najbardziej kompetentnej charakterystyki

dokonał Andrzej Zajączkowski, socjolog, antropolog kulturowy, afrykanista, profesor PAN i UW, kierownik Zakładu Krajów Pozaeuropejskich, wykładowca na uczelniach w Ghanie i Ugandzie. Opublikował dwie cenne książki ukazujące filozofię i religie ludów afrykańskich: *Pierwotne religie czarnej Afryki* (Warszawa 1965) i *Muntu dzisiaj* (Warszawa 1970). Natomiast filozofia i religia pierwotnych ludów Indonezji i Filipin zajmował się W. Stöhr, który opublikował *Les religions archaïques d'Indonésie et des Philippines*, w: *Les religions d'Indonésie*, Paris 1968.

Pozwolą nasi Czytelnicy, że przytoczę nieco obszerniejszy fragment z tej drugiej książki A. Zajączkowskiego, nikt z nas bowiem lepiej i kompetentniej od niego ukazać istoty filozofii i religii (w tym „sacrum”) ludów afrykańskich nie może. Otóż Zajączkowski, przypominając, że w myśli europejskiej filozofia jest nurtem wyraźnie wyodrębnionym od nurtu teologicznego i naukowego, podkreśla, że inaczej rzecz przedstawia się w Afryce. Pisze:

„Teologia, filozofia i nauka mieszczą się wszystkie w jednym tyglu, a rozdział tych trzech dziedzin jest bardziej dziełem abstrakcyjnie porządkującej myśli etnologa niż odbiciem rzeczywistości afrykańskiej. Afrykański świat cechuje brak wewnętrznych konturów i ta jego cecha jest widoczna przy rozpatrywaniu

go z każdego punktu widzenia. Jednym z ważniejszych aspektów tego braku wewnętrznych konturów jest podział świata na to, co doczesne i wieczne, naturalne i nadnaturalne, materialne i duchowe. Pierwotna myśl afrykańska podziału takiego po prostu nie zna; kosmos jest jeden (kosmos etnocentryczny oczywiście) i granicy między duchem a materią, charakterystycznej dla chrześcijaństwa, w ogóle sensownie przeprowadzić się nie da. Podstawy takiej bezkonturowości leżą w pokładach afrykańskiej ontologii, a obejmuje ona również i samą afrykańską myśl filozoficzną, która, niedostatecznie rozbudowana jako system, nie pozwala na ścisłe rozdzielenie ontologii od innych gałęzi filozofii.

Otóż podstawową kategorią ontologiczną jest w Afryce pierwotnej kategoria siły. Znany ten fakt leży u podstaw częstego zastępowania rozpowszechnionego terminu *animizm* terminem *dynamizm* na oznaczenie głównej cechy wierzeń afrykańskich. Godząc się z samym terminem uwzględnić jednak musimy, że dynamizm afrykański jest właśnie dynamizmem ontologicznym. Przechodząc na najwłaściwszy w tym wypadku język tożsamości powiedzieć można, że w myśli europejskiej siła jest przypadłością rzeczy, nie jest rzeczą samą. W myśli afrykańskiej natomiast pojęcie siły odpowiada tomistycznemu pojęciu bytu. Rzecz nie ma siły – rzecz jest siłą.

Wszystkie więc siły afrykańskiego kosmosu mają charakter substancjalny; świat składa się ze zróżnicowanych indywiduów. Inaczej mówiąc sił jest tyle, ile istnień: bogów, duchów, zwierząt, roślin, przedmiotów natury martwej. Siły te tworzą hierarchię o kształcie piramidy. Na jej szczycie figuruje Istota Najwyższa, poniżej: klasa ludzi, zwierząt, roślin, minerałów. Wewnętrzna bezkonturowość kosmosu nie jest jednak bezwzględna.

Otóż w całym kosmosie nie ma podziału poziomego, nie ma swoistego rozwarstwienia, czego szczególnym przykładem jest klasa sił-ludzi, do której należą także duchy zmarłych przodków. Są jednak podziały pionowe. Klasa ludzi zajmuje w systemie sił miejsce centralne. Kosmos jest nie tylko etnocentryczny, ale także i homocentryczny. Homocentryzm ten ujawnia się szczególnie w dziedzinie religii.

Różnym szczeblem tej piramidy (w różnych, pionowych klasach gatunku) odpowiada różny potencjał siły. Termin *potencjał* zaczerpnięty tutaj został z fizyki i może budzić niewłaściwe skojarzenia, ale nie wolno nam zapominać, że siła nie jest przypadłością, lecz bytem, tak że termin potencjał oznacza po prostu, że byty mają różne wymiary: są byty większe i byty mniejsze. Siły są uszeregowane według swej wielkości, a na czele sił stoi Istota Najwyższa. Hierarchiczne miejsce sił od niej niższych wyznaczone jest zasadą primogenitury, który to termin z kolei ma sens ścisły tylko w wypadku klasy sił-ludzi. W klasach innych i ponad klasą ludzi primogenitura oznacza po prostu pewien porządek kreacji dokonanej przez Istotę Najwyższą. Pomijamy te problemy, najbardziej bowiem interesuje nas klasa ludzi. Otóż w tej klasie największą siłą są, ogólnie mówiąc, przodkowie. Ogólnie mówiąc – ponieważ świat przodków w różnych kulturach etnicznych jest różnie zorganizowany. Poniżej przodków największą siłą są ludzie żywi, ci, którzy w swej grupie dysponują władzą, co zasadzie primogenitury ściśle odpowiada, jako że w całej Afryce pierwotnej źródłem władzy jest albo mandat ze strony przodków (więc najstarszych), albo faktyczne starszeństwo. Tak więc największą siłą jest wódz, po nim różni podwódcowie lub też osobnicy wyposażeni tradycyjnie w inną,

nie wodzowską władzę, następnie głowy grup pokrewieństwa od zbiorowości największej do najmniejszej.

Układ sił nie jest jednak układem statycznych potencjałów-sił w różnym ale stałym wymiarze. Siły nie tylko są sobie potencjalnie nierówne, ale w dodatku potencjały ich są zmienne. Byt mniejszy może się powiększyć, byt większy pomniejszyć. Powiększenie i pomniejszenie sił następuje w wyniku interakcji, czyli wzajemnego na siebie oddziaływania. Powiększenie jednej siły może nastąpić tylko kosztem pomniejszenia drugiej, pomniejszenie następuje zawsze na rzecz innej siły. Wyjątek stanowi tylko Istota Najwyższa, która jest siłą samą z siebie, nie pobiera nic od żadnej siły innej, a udzielając z siebie nie traci na potencjale. Istota Najwyższa jest więc koniecznym zasobnikiem potencjału, wyrównującym pomniejszenia zachodzące u sił od niej niższych. Interakcja sił przebiega zarówno w kierunku pionowym, jak i poziomym, w granicach jednej klasy sił jak i między klasami (...).

Teoria sił pozwala zrozumieć, dlaczego w Afryce pierwotnej każda choroba jest zawsze przez kogoś zawiniona, tak samo – oczywiście – jak śmierć. Gdy zdarzy się, że człowiek umiera, to zgodnie z teorią sił umniejszył się w tym stopniu, że przestał być tym, czym był, czyli żywym człowiekiem. Ale nie znaczy to wcale, by przestał być siłą w ogóle; został siłą na tyle, czym jest – mianowicie trupem. Trup bowiem istnieje, jest rzeczą, a rzecz to siła.

Ten ostatni przykład śmierci człowieka naprowadza nas na inny problem, mianowicie duszy. Metafizyczne rozumienie siły jako „bytu” i tutaj da się – w części przynajmniej – zastosować. Myśl afrykańska dokonuje podziału na to, co w rzeczy jest fizyczne i co spirytualne, choć nie dzieli kosmosu według

podobnych kryteriów. W każdym człowieku tkwi inny mały człowiek, głosi przysłowie Bantu; każdy człowiek ma ciało i duszę, wzajemny ich stosunek może być przedstawiony jako luźno odpowiadający tomistycznemu stosunkowi materii i formy. W myśli afrykańskiej jednak to, co spirytualne, nie jest właściwe tylko człowiekowi, ponieważ w każdej rzeczy tkwi inna mała rzecz, czego odpowiedniość w myśli europejskiej trudno już znaleźć. Ten mały człowiek, tkwiący w człowieku we wszystkich – jak się zdaje – wierzeniach, jest też podzielny. Umniejszenie go o tę część, która stanowi o życiu całości, jest śmiercią. Część ta jest zazwyczaj identyfikowana z oddechem”. (A. Zajączkowski, *Muntu dzisiaj*, wyd. cyt., s. 15-19).

Czytelnicy zechcą wybaczyć ten nieco przydługi cytat, ale ma on ułatwić zrozumienie, że myśl afrykańska dostrzega w tej hierarchii sił-bytów kosmiczny porządek i powszechną harmonię, a cały kosmos ujmuje jako wielką jedność i totalność organiczną. Człowiek jako jednostka i grupa plemienna, w której żyje, należy również do szeroko pojętego kosmosu i ma w nim swoje jednoznaczne miejsce. Afrykanin pierwotny był zawsze zintegrowany ze swą grupą plemienną, a przez nią zintegrowany z całym kosmosem. Społeczność plemienia afrykańskiego utworzona była na wzór kosmosu, była jakby mikrokosmosem, stanowiąc wierne odbicie organicznej jedności kosmosu. Integracja jednostki z grupą, a przez nią z kosmosem była nieustannym procesem, któremu poświęcone były najważniejsze akty rytuału. W tym kontekście wszystkie znaczące czynności ludzkie miały wymiar kosmiczny, łącznie z religią i moralnością. Człowiek wraz ze wszystkimi innymi bytami uczestniczy w porządku kosmosu, a uczestniczenie to jest całym

sensem ludzkiej egzystencji. Ideę centralną w życiu Afrykanów stanowiło pojęcie kosmicznego ładu. Na tym łądzie opiera się powiązanie człowieka z całą naturą i wszystkimi zjawiskami kosmosu. Porządek kosmiczny rzutuje na całe życie człowieka, zwłaszcza na jego porządek społeczno-plemienny. Obejmuje wszelkie ceremonie religijne, rytuały narodzin, inicjacji, małżeństwa i śmierci, uprawę ziemi, budowę domów, zachowanie się wobec innych ludzi i zwierząt (patrz: A. E. Jenson, *Mythes et cultes chez les peuples primitifs*, Paris 1954).

Oczywiście, ten kosmiczny porządek jest porządkiem boskim i świętym. Jest *sacrum* tych religii plemiennych. Jego ciągłość i tej ciągłości zapewnianie jest sensem i celem działalności człowieka oraz jego najwyższym dobrem. Dlatego każda czynność człowieka pociąga za sobą kwalifikację moralną, gdyż każda winna być wyrazem powszechnego porządku kosmosu. Porządek ten stanowi kryterium moralności czynów ludzkich. Za dobro uchodzi to, co służy utrzymaniu i zachowaniu porządku i harmonii kosmicznej,

a pomocą służy temu cały system szczegółowych nakazów (zwanych *pali*) i zakazów (zwanych *tabu*). Taką to społeczną funkcję pełni *sacrum* wśród ludów plemiennych Afryki.

Natomiast wśród ludów plemiennych Indonezji i Filipin ten porządek kosmiczny nosi nazwę *hadat*. Obejmuje on nie tylko człowieka, ale i wszelkie inne istoty żywe, martwe, wszelkie zjawiska przyrody, ponieważ cały kosmos uporządkowany jest przez Najwyższą Istotę i każdy element kosmosu posiada w nim właściwe sobie miejsce. Tak wygląda społeczna funkcja *hadat* u ludów plemiennych Indonezji i Filipin. (W. Stöhr, *Les religions archaïques d'Indonésie et des Philippines*, Paris 1968). Centralną zatem kategorią etyczną regulującą życie społeczne ludów plemiennych jest kategoria ładu i porządku kosmicznego tkwiąca w ich *sacrum*.

b) *sacrum* w hinduizmie



Sankara; źródło: google.pl

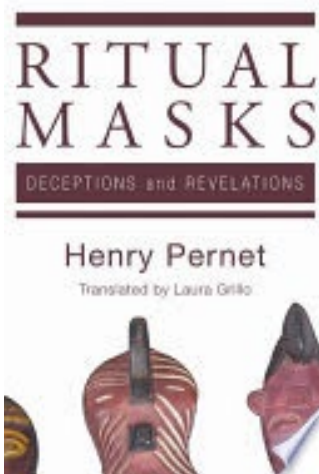


Foto z Google: Strony wyświetlane za zezwoleniem Wipf and Stock Publishers.

Hinduizm jest religią *par excellence* kosmocentryczną. Wyznaje ją ponad jeden miliard ludności świata, głównie na Półwyspie Indyjskim i w Nepalu oraz w Pakistanie, na Cejlonie, w Indonezji, w Birmie, na wyspie Bali i częściowo w Ameryce Południowej. Hinduizm

jest ze wszystkich religii świata najbardziej wewnętrznie zróżnicowany, bogaty w wielką ilość odłamów (ugrupowań) religijnych i szkół filozoficznych. Wyznawcy hinduizmu czczą miliony bogów i bóstw, których nikomu dotychczas nie udało się policzyć, a ich ilość religioznawcy (chyba pół żartem, pół serio) określają na 330 milionów. Hinduizm to trzecia co do wielkości religia świata, po chrześcijaństwie i islamie (chrześcijanie stanowią ponad 2 mld, w tym wyznanie katolickie – nieco ponad 1 mld; islam – 1,6 mld). Teologia hinduska jest bardzo skomplikowana, każdy bowiem jej system, każda Szkoła zawiera w sobie elementy innego systemu i innej Szkoły. Badacze wyodrębniają cztery najważniejsze odmiany hinduizmu, mianowicie: a) monistyczna, reprezentowana przez szkołę Siankary (nazwisko tego myśliciela bywa transkrybowane także w formie *Śankara*).

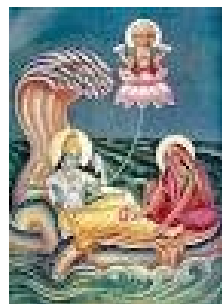


Ramanuja; źródło: <https://www.google.pl/search?q=ramanuja&tbn...>

b) panteistyczna, utożsamiająca bóstwo (boskość) ze światem, związana ze szkołą brahmanizmu, c) panenteistyczna, głoszący, że świat jest częścią Boga – to szkoła Ramanudzi (w kręgach anglosaskich nazwisko przybrało w formę *Ramanuja*) i d) teistyczna, uważająca, że tylko jeden Bóg różni się od stworzenia, reprezentowana przez szkołę zwaną Bhaktijoga (praktykującą rozwijanie miłostnego związku – *bhakti* – z Bogiem).

Ponadto badacze wyjaśniają, że hinduizm może też być ateistyczny, deistyczny i nihilistyczny, pod warunkiem jednak, że uznaje Wedy za księgi święte. Zwracają też uwagę, że w tych wszystkich odmianach hinduizmu i poglądach poszczególnych szkół nie ma logicznej spójności ani aspiracji do racjonalności, cechujących po większej części religie i wyznania Zachodu.

Wśród tych milionów bogów najważniejszy jest BRAHMA.



<https://www.google.pl/search?q=brahma&tbn...>

Jest on siłą, która zawiera w sobie całą rzeczywistość i istnieje (przejawia się) w trzech oddzielnych wcieleniach: jako: a) Brahma-Stwórca, b) Wisnu-Opiekun, i c) Sziwa-Niszczyciel. Każdy z nich (z tych trzech) może przybierać różne inne wcielenia. To jest ta hinduska Triada (*trimurti*), otoczona kultem wyznawców. Z tej Triady BRAHMA stanowi sacrum hinduizmu. Przejawia się ono za pośrednictwem wielu bogów osobowych stojących w tej całej hierarchii poniżej niego. A ponieważ Brahma zawiera w sobie całą rzeczywistość, toteż każdy człowiek jest ucieleśnieniem boskości: ATMAN, czyli ludzkie własne „ja”, stanowi jedno z Brahmą. Wszystko zaś poza rzeczywistością Brahmana uważane jest w hinduizmie za iluzję. Duchowym celem hinduizmu jest zjednoczenie

z B r a h m ą. On wszak jest sacrum tej religii.

Hinduizm postrzega ludzkość jako boskość, a każdego człowieka jako ucieleśnienie boskości. Dlatego należy dążyć do unicestwienia istnienia „indywidualnego ja” i pogrążyć się w Brahmie. Ale zanim to się osiągnie, człowiek wędruje przez życie, przechodzi od wcielenia do wcielenia (cały szereg reinkarnacji) po to, żeby wypełnić się prawdą, a tą prawdą jest twierdzenie, że istnieje tylko Brahma i nic poza tym.

Jak wyjaśniają religioznawcy, a wśród nich H. von Glasenapp (w: *Religie niechrześcijańskie*, wyd. pol. Warszawa 1966) oraz J. Gonda (w *Les religions de l'Inde*, t. 1, Paris 1962), życiem moralnym hinduistów, oprócz wielkiej ilości przepisów kieruje przekonanie o istnieniu w kosmosie immanentnego prawa moralnego. Według tego prawa człowiek otrzymuje automatyczną zapłatę za wszystkie swoje uczynki (prawo karma) na drodze ponownych narodzin. Hinduści wierzą w reinkarnację, czyli wędrówkę dusz. Termin *karman* w sanskrycie oznacza czyn, uczynek, postępowanie. Jest to jedno z podstawowych indyjskich pojęć religijnych i filozoficznych, oznaczające sumę uczynków spełnionych w poprzedniej egzystencji. Ta suma uczynków decyduje o charakterze następnego wcielenia w łańcuchu reinkarnacji, czyli powtórnych wcieleń. Pogląd ten wynika z wiary, że czyjeś myśli i uczynki mają etyczne następstwa, gdyż decydują o losie człowieka w jego przyszłym życiu. Prawo to teiści wiążą z bogiem w ten sposób, że to bóg powoduje jego niezakłócone działanie, natomiast pan-en-teiści w panowaniu tego prawa widzą działanie wszechogarniającego Jedyne w świecie rozdzielnym przestrzenią i czasem. Zadaniem

człowieka jest – we własnym, najlepiej pomyślanym interesie – postępować zgodnie z zasadami moralnymi i w ten sposób troszczyć się o swoje wznoszenie się w toku kolejnych narodzin. Chodzi o to, by po śmierci dusza nie weszła w podłe ropuchy, świnię, psy czy muchy. Jak we wszystkich religiach, tak i w hinduizmie prawo moralne jest najściślej związane z przestrzeganiem określonych przepisów rytualnych.

Celem tych zabiegów jest osiągnięcie wyzwolenia (*moksha*) z „koła wcieleń” i zjednoczenie się z Brahłą. Hinduista ma w życiu cztery cele: rozkosz zmysłową (*kama*), zdobywanie dóbr ziemskich (*artha*), wypełnianie obowiązków obywatelskich i religijnych (*dharma*) oraz osiągnięcie wyzwolenia (*moksha*). Każdy z tych kolejnych celów jest lepszy od poprzedniego. Cele te można osiągnąć przy pomocy określonych technik i praktyk. W tym celu należy poznać Brahłą, a poznać go można przez medytację w głębokim spokoju wewnętrznym, przestrzeganie przepisów rytualnych i nakazów moralnych.

c) sacrum w chińskim taoizmie

Taoizm jest filozofią i religią kosmocentryczną, a jego sacrum jest *tao* nieba, *tao* ziemi i *tao* człowieka. Ze zrozumieniem tego pojęcia jest trudność. Będziemy próbować choć trochę się z nim oswoić.

Za twórcę taoizmu uważany jest LAO-TSY, (VII w. p.n.e.) starszy od Konfucjusza o jedno pokolenie. Przypisuje się mu niewielki, wierszowany, ale najsłynniejszy w danym nurcie kulturowym traktat filozoficzny pt. *Księga drogi i cnoty (Tao-te-king)*, przetłumaczony na język polski i opublikowany w: *Taoizm*, pr. zbior., Kraków 1988, s. 48-75. Tak oto się zaczyna ów utwór:

Tao, które można wyrazić słowami, nie jest (prawdziwym) niezmiennym tao.

Nazwa, którą można je określić, nie jest (prawdziwą) niezmienną nazwą.

Bezimienne (stało się) prapoczątkiem nieba i ziemi.

Nazwane (stało się) rodzicielką dziesięciu tysięcy rzeczy.

Przeto, (ten, kto) trwale pozbawiony jest pragnień wszelakich, (potrafi) dojrzeć subtelną istotę tao, (ten zaś, kto) niezmiennie tkwi w pętach swych pragnień, (może) tylko ujrzeć zewnętrzną pozorność rzeczy.

Te dwie (strony tao) wywodzą się ze wspólnego źródła, lecz noszą odmienne nazwy.

To, co jest w nich wspólne, nazywamy wielką tajemnicą, tajemnicą nad tajemnicami, bramą (wiodącą do poznania) wszelkich cudowności.

Innym myślicielem taoizmu jest CZANG CZU (369-286 p.n.e.), inaczej zwany CZUANG-TSY, autor dzieła w całości przetłumaczonego na język polski pt. *Prawdziwa księga południowego kwiatu*, Warszawa 1953 (tytuł oryginału: Nan-hua czen-king). Jeszcze innym myślicielem jest właściwie nieznanym lecz domniemanym autor dzieła *Mistrz Lie* („Lie-tsy”). Dzieło to przypisuje się Lie Jü-k’ou, żyjącemu na przełomie IV i III w. p.n.e. Poza wymienionymi nazwiskami i tytułami dzieł istniało w taoizmie wielu innych wybitnych przedstawicieli, taoizm bowiem jest wielką szkołą filozoficzną i religijną starożytnych Chin.

Centralną kategorią filozoficzną (w tym etyczną) i religijną taoizmu, czyli jego sacrum, jest kategoria *tao*. Czym ona jest i jak funkcjonuje w życiu Chińczyka? Otóż pojęcie tao (droga, szlak) należy do chińskiej

filozofii klasycznej i oznacza bezosobowy ład w przyrodzie i społeczeństwie, a w szerszej pojętej kulturze chińskiej oznacza powszechny porządek kosmiczno-moralny. Pozwala to widzieć w taoizmie filozofię typu kosmocentrycznego, a w taoizmie religijno-magicznym religię kosmocentryczną. A ponieważ w myśli religijnej Chin pojęcia „porządku” i „drogi” są ściśle ze sobą związane, słowem tao oznacza się również naukę, będącą wytyczną ludzkiego postępowania. Taoizm wyraża się bowiem poprzez trzy różne doktryny filozoficzno-religijne i etyczne.

☞ Taoizm filozoficzny rozwinął się między VI a III w. p.n.e. Jego twórcy głosili materialną jedność świata, regulowaną bezosobowym ładem przyrody, oraz propagowali zasadę niesprzeciwiania się porządkowi panującemu w przyrodzie i społeczeństwie.

☞ Taoizm religijno-magiczny rozwinął się między II wiekiem p.n.e. a IV wiekiem n.e. Stanowił on odmianę wcześniejszego taoizmu filozoficznego, który wchłonął wierzenia i praktyki magiczne. Odrzucał natomiast ateistyczno-naturalistyczne koncepcje taoizmu filozoficznego. W III i IV w. n.e. powstała zinstytucjonalizowana forma taoizmu religijno-magicznego, która przetrwała do XX wieku. ☉ Neotaoizm filozoficzny ukształtował się około I w. n.e. i był rezultatem połączenia taoizmu filozoficznego z koncepcjami ówczesnego konfucjanizmu. W roku 440 n.e. taoizm stał się religią państwową, a w roku 666 n.e. Lao-tsy został oficjalnie deifikowany (ubóstwiony) i wyniesiony w świadomości społecznej ponad Konfucjusza i Buddę. Wówczas do kultu wprowadzono wiele różnych bóstw, usystematyzowano teologię i przejrzysiej różnicowano wielość szkół taoistycznych.

W myśli filozoficznej i religijnej Chin wyróżnia się TAO NIEBA, TAO ZIEMI i TAO CZŁOWIEKA. Dla człowieka to trzecie stanowi normę, czyli regułę moralną postępowania, natomiast TAO Nieba i Ziemi stanowi odwieczny porządek świata i oznacza prawa nim rządzące. Człowiek będąc częścią przyrody posiada wymiar kosmiczny polegający na tym, że posiada on poczucie wewnętrznej solidarności z tym całym porządkiem świata, w którym uczestniczy osobiście. Wyrazem tego przekonania była u Chińczyków wiara w NIEBO, będące personifikacją powszechnego porządku i uznawanie cesarza za „Syna Niebios”, odpowiedzialnego za porządek kosmiczny świata i ład moralny społeczeństwa. Zadaniem człowieka było dążenie do harmonii z porządkiem kosmicznym. Realizacja tego zadania była jedynym środkiem zbawienia.

W taoizmie ma miejsce przekonanie o istnieniu w przeszłości Złotego Wieku, kiedy to panowała powszechna harmonia w przyrodzie i społeczeństwie. Harmonia ta została zniszczona i powinna być przywrócona. Przed okresem Złotego Wieku miała mieć miejsce epoka niezróżnicowanej WIELKIEJ JEDNI. Wtedy człowiek żył w doskonałej harmonii ze zwierzętami, cieszył się pełnią szczęścia (tu przypomnijmy sobie opis pobytu Adama i Ewy w biblijnym raju), ponieważ wtedy nie umiał jeszcze rozróżniać między życiem i śmiercią, przyjemnością i bólem, korzyścią i stratą, dobrem i złem. Nie miał jeszcze wtedy samoświadomości, stanowił jedno z tao i z nieprzerwanym biegiem kosmicznego życia. Upadek człowieka zaistniał wtedy, gdy zdobył on umiejętność odróżniania dobra od zła, czyli możliwość popełnienia błędu. Dlatego taoizm potępia wiedzę i jest postawą wybitnie antyintelektualistyczną. Wiedzę, rozum, cywilizację

uważa taoizm za wyraz dekadencji człowieka i jego odejście od pierwotnej prostoty tao. Z tych względów potępia taoizm moralność „sztuczną”, tzn. konwencjonalną, czyli normy wypracowane przez człowieka w toku życia społecznego. Uważa ją za ludzką ingerencję w porządek bosko-kosmiczny.

Taoizm ma specyficzny stosunek do cnót moralnych. Uważa, że nie należy o nie zabiegać. Jak wyjaśnia Tadeusz Dajczer, „jedną z cech charakterystycznych taoizmu jest doktryna WU-WEI, czyli zasada spontaniczności, nie-działania, nie-afirmacji, nie-interweniowania w bieg natury. Ruch tao dokonuje się bez używania energii, ponieważ pochodzi ze stwórczego źródła, którego czynności są całkowicie naturalne i spontaniczne. Jest to „działanie bez działania”, dokonywanie wszystkiego z zachowaniem twórczego spokoju. Prawo kosmiczne porządku polega na tym, że wszystkie byty zachowują się zgodnie z ich własną naturą, ponieważ tao jest źródłem, z którego ich egzystencja pochodzi, oraz drogą, którą spontanicznie i bez wysiłku kroczą. Prawdziwy mędrzec naśladuje tao w jego spokojnym nie-działaniu, wzbrania się przed wszelką inicjatywą, oczyszcza swe serce i umysł z wszelkich pragnień i wszelkich pojęć, czyniąc się pustym i próżnym na wzór tego, co nazywane jest samą PRÓŻNIĄ. Ogranicza się do obserwacji natury, wiedząc, że wszystko ma swoją rację bytu i że chcieć poprawiać naturę znaczy jej szkodzić, a sobie przysparzać cierpienia”.



Cechą charakterystyczną taoizmu jest postulat kontemplacji tao, kontemplacji w milczeniu, gdyż myślenie dyskursywne może dotrzeć tylko do prawdy względnej, osiągnąć zaś trzeba prawdę absolutną. Zanim jednak ją się osiągnie, należy wstrzymać się od wypowiadania swoich sądów i prób narzucania innym swoich poglądów. Wszystko bowiem jest rzeczą względną. Tolerancja łączy się w taoizmie z relatywizmem. Ponieważ w świecie nie ma nic stałego, to wszystko jest kwestią punktu widzenia – co jest dobre i prawdziwe dla jednego, to samo może być złe i fałszywe dla kogoś innego. Tao jest wprawdzie porządkiem kosmicznym, ale ten porządek jest w ciągłym ruchu. Wszystkie zachodzące zmiany zmierzają do ich punktu wyjścia. Dlatego mędrzec chiński winien być „cichy i pokornego serca”, być biernym, prowadzić samotny i nieznan tryb życia w kontemplacji DROGI NIEBA I ZIEMI.



taijitu, tj. symbol dopełniania się yin i yang;
źródło: rafalruba.pl

Postulat kontemplacji tao zbliża człowieka do przyrody (Tao Ziemi) a oddala od społeczeństwa. Za ideał uważa taoizm życie oddalone od trosk i niepokojów. Jest zatem filozofią negującą potrzebę życia społecznego, instytucji społecznych, filozofią głoszącą pogardę dla cywilizacji, ale nie wymagającą tej pogardy bezwzględnie. Taoizm jest tolerancyjny wobec innych postaw życiowych.

Sam w sobie jest filozofią raczej materialistyczną, o czym świadczy teoria dwóch sił materialnych – IN oraz JANG. Te dwie siły kosmiczne (symbolizowana jako jasna to męska, jako ciemna – żeńska) wzajem na siebie oddziałujące przyczyniają się do funkcjonowania kosmosu jako wielkiej materialnej całości dynamicznej, zorganizowanej hierarchicznie. Siły te, uruchamiające kosmos stanowią jego DROGĘ – Tao Nieba i Tao Ziemi. Podobnie jak kosmos, tak i człowiek składa się z tych dwóch sił – IN i JANG i posiada te same co kosmos elementy strukturalne. Dlatego człowiek nie ustanawia norm moralnych, lecz odkrywa je w porządku obiektywnym świata, którego jest wiernym odbiciem.

Taoizm w szczególny sposób zaleca pokorę. Zalecenia te oparte są na pojmowaniu tao jako nicości bądź próżni oraz na kosmicznym prawie powrotu wszystkich rzeczy do Próżni. Głosi więc taoizm, że człowiek najślabszy jest właściwie najsilniejszy, a najmniejszy jest największym. Tao jest również w jakimś sensie „pokorne”, znajduje się bowiem u podstaw wszystkich bytów. Dlatego człowiek naśladowując tao winien własnym wysiłkiem zniżać się ku temu co słabsze i niższe. Winien nie mówić o swoich zasługach, pozostawać zawsze w cieniu, zajmować ostatnie miejsce, co mu umożliwi zjednoczenie siebie z tao kosmicznym, tym sacrum taoizmu.

Zainteresowanym polecam lekturę: M. J. Künstler, *Mitologia chińska*, Warszawa 1981; M. Kaltenmark, *Lao Tseu et le taoïsme*, Paris 1965; a przede wszystkim wspomniany wyżej *Taoizm*. □

(ciąg dalszy nastąpi w nr. 76 FMW)



PIOTR AUGUSTYNEK

Obiit Gustavus, natus est Conradus, czyli JA, JA, JA, JA...

Dziady Adama Mickiewicza, a w nich III część z Wielką Improwizacją. Przypominamy sobie genialną kreację Jerzego Treli w inscenizacji Konrada Swinarskiego. Całe szczęście, że w zasobach archiwalnych TV i innych instytucji kultury zachował się zapis tego spektaklu.

Monolog Gustawa-Konrada bywa porównywany z innymi, czołowymi tekstami wyznaczającymi dzieje dramaturgii światowej. Mają Anglicy swoje: *To be, or not to be*. Mają Polacy swoje: *Samotność, cóż po ludziach (...)*.

Początek konradowskiej Improwizacji to nie tylko słowa ułożone jakoś tam w rzędki. To także sceneria (możliwie wyobrażalna): więzienie w pobazyliańskim klasztorze, noc, groza sytuacji aresztowanych młodych spiskowców. Wieści zza murów niewesołe: terror, zsyłki, śmierć...

Młody bohater – poeta rozpoczyna: „Samotność, cóż po ludziach ...”

Nigdy wcześniej ten krótki wyimek nie budził we mnie większych refleksji. Ale... no właśnie. Każdy świadomy odbiorca tekstu Mickiewicza wie, czego oczekiwać! Oczekuje zatem żądania: „Daj mi rząd dusz!”, oczekuje oskarżenia „Żeś ty nie ojcem świata, ale (...) carem!

Scena poruszająca, jak i większość tekstu dramatu. A jednak... A jednak będę musiał trochę „pobelfrować”, ponarzekać, pojęczeć. Bez tego nie byłbym prawdziwym belfrem.

Czego zatem będzie dotyczyć moje narzekanie? Otóż percepcji tego tekstu (i innych tekstów romantyzmu polskiego) u uczniów. Zajmijmy się szkołami średnimi. To przecież kuźnia przyszłych studentów, elity, tych którzy niebawem będą nami rządzić i wypłacać nam emerytury, a tu – klops! Owszem, w „dobrych” liceach dobierani uczniowie grzecznie recytują słuszne frazy o tym, jak to indywidualista – wieszcz – spiskowiec – poeta, słowem Gustaw-Konrad wadzi się z Bogiem o rząd dusz. Chce zbawiać. Sam. Sam będzie działał: Oto ja, Mistrz! i dalej:

Ja tworzę nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę,

Cóż Ty większego mogłeś zrobić Boże?

Ale w innych szkołach ponadpodstawowych rzecz ma się już nieco inaczej. Uczniowie, uczciwie mówiąc, „nie kumają”. Nie wynika to ze złej woli, z braku wiedzy, czy ograniczeń intelektualnych. Problem tkwi zupełnie gdzie indziej. W upływie czasu, w zmianach mentalności, w całej gamie zjawisk, jakimi zajmuje się socjologia, psychologia społeczna, teoria komunikacji itp.

Pomijam barierę językową, bo to od biedy (przy dużym nakładzie czasu i wysiłku nauczyciela) można pokonać. Rzecz jednak na tym się nie kończy. Uczeń bowiem, nawet jeśli przebrnie przez barierę archaicznego języka (nie tylko leksyka, ale i składnia), dalej nie kuma.

Czego nie kuma? Między innymi indywidualistycznej postawy polskiego bohatera romantycznego. Zadaje proste (nie prostackie) pytania:

– Czy Gustaw-Konrad nie wie, że sam może działać mniej niż w zespole, wspólnie z innymi?

– Po co żąda od Boga „rządu dusz”, skoro sam go sobie może wypracować jako przywódca?

– Co to za interes dać się zabić w imię „barykadowego patriotyzmu”?

– Czy nie lepiej doskonalić się ekonomicznie, społecznie, intelektualnie, by być lepszym od tępych carskich urzędników?

Pytań tych nie wymyśliłem. Spisałem je tylko po zajęciach poświęconych postawie bohatera romantycznego. Można by powiedzieć, że w tych pytaniach porbrzmiewają tony pozytywizmu. Dodać można: nie tylko.

Współczesny uczeń miota się między postawą „ja” i postawą „ja w korpo”. Złowrogo brzmiące słowo „korpo” odpycha, ale i pociąga. Działa magia termitier. W korporacji uczestniczę w obłąkańczej pogoni za sukcesem. Tutaj (choć przez chwilę) jestem kimś. Poza „korpo” nie istnieję.

Młody człowiek podpięty (nieomal przyrośnięty) do komórki, tabletu, laptopa, prowadzący wirtualny żywot w social-mediach, ma trudności z samym sobą. Odcięcie go od wyżej wymienionych gadżetów i sposobu życia grozi katastrofą. Czasami się nią staje. W realu, nie w wirtualu.

Uczeń wzrastający w cyberprzestrzeni jest rozdarty pomiędzy życiem w cyberzbiorowości a samotnością. Psycholodzy alarmują, a prosty nauczyciel potwierdza swymi obserwacjami: uczniowie coraz trudniej znoszą konieczność słuchania (w realu) nauczyciela

dłużej niż piętnaście minut. Tyle przecież nie trwa nawet najbardziej rozbudowany tweet, czy e-mail lub SMS. Sprawia im trudność poprawne ułożenie komunikatu językowego i przesłanie go ustnie, po prostu – powiedzenie czegoś komuś. Przecież znacznie lepiej wysłać SMS okraszony emotikonem. Nie trzeba przy tym nikomu patrzeć w oczy, nie trzeba się uśmiechać, zbędna staje się mowa ciała.

I jak w takim świecie odnaleźć Gustawa-Konrada? Zrobiłem eksperyment. Zapytałem uczniów, co byliby, gdyby mickiewiczowski bohater żył dzisiaj, dysponował internetem itd., itp.

Uczniowie na chwilę zamilkli. Gdy milczenie się przedłużało, ponowiłem pytanie: – No, co by wtedy było?

Padła odpowiedź: hejt i bluzgi. □

STANISŁAW FRAN CZAK

Przebudzenie Ojczyzny

Na stulecie odzyskania niepodległości

Trzykrotnie sprzedana zaborcom
przez naszych panów
oszukana przez Kościół który
modlił się za cesarzy
spływała krwią swych synów
na wszystkich frontach
a gdy ostygły działa
powstała z martwych
i zapukała do drzwi
prostych ludzi którzy
obudzili się z letargu
by z ruin budować
gniazdo Piastów

na imię miała Polska

AGATA KRAWCZYK

Kultura obnażania w mediach

Kultura obnażania – zarówno cielesnego jak i duchowego – zawładnęła współczesnymi mediami. Jest ona szeroko opisywana przez Briana McNaira w książce *Seks, demokratyzacja pożądania i media, czyli kultura obnażania*.¹ Podłożem pozwalającym na rozwinięcie się kultury obnażania jest istnienie publiczności, która dobrze czuje się w roli podglądacza i widza obnażania się oraz zwierzeń innych osób. Wśród takiej publiczności znajdują się również osoby chętne pójść o krok dalej, czyli zapewnić spektakl innym dając możliwość podglądania swych czynów i wyznań. Dowodem na ich mnogość jest liczba programów dających możliwość zwierzenia się osobom, które nie są powszechnie znane, tzw. „zwykłym ludziom”. Uczestnicy dobrowolnie zgłaszają chęć wystąpienia w programie mając świadomość, iż będzie to prowadziło do odarcia ich z intymności na oczach wielu osób, które – choć same nie zechciałyby tego dokonać – wygodnie się czują oglądając jak robią to inni. Programy tego typu są nazywane przez McNaira *porno-chic*. Były one programami emitowanymi na żywo przy udziale publiczności w studio, jak również publiczności interaktywnej, która mogła dołączyć do nich w dogodnym dla siebie momencie. Trzecim warunkiem zaistnienia kultury obnażania są „mechanizmy kontroli oraz poczucie smaku nastawione przychylnie do spektaklu

polegającego na fizycznym czy emocjonalnym obnażaniu się „zwykłych ludzi”.²

Miało to miejsce w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku będąc elementem seksualizacji kultury na dużą skalę, kiedy *porno-chic* oraz różnego rodzaju przejawy erotyzmu gwiazd doprowadziły do seksualizacji sektorów reklamy i rozrywki w obrębie kultury szerokiego odbiorcy, a jednym z przejawów tych tendencji stało się zainteresowanie popkultury striptizem”.³ Temat zagościł w kinematografii dzięki filmowi *Striptease* w reżyserii Alana Bergmana z Demi Moore w roli głównej. Obraz powstały w roku 1996 przedstawiał zjawisko striptizu jako świadomy wybór, który nie jest powodem do wstydu, a racjonalną decyzją w kulturze, która skomercjalizowała nagość. Nastąpiła moda na rozbieranie się i pokazywanie ciała, co zaowocowało wzrostem zainteresowania życiem seksualnym elit. Dziennikarze skupili się nie tylko na gwiazdach sceny muzycznej i ekranów, ale również politykach. Najdotkliwiej przekonał się o tym prezydent Stanów Zjednoczonych Bill Clinton, którego przygody seksualne z podwładną Moniką Lewinsky wyszły na światło dzienne stając się bezsprzecznie największym skandalem Ameryki w roku 1998. Pomimo iż według źródeł⁴ największym kobieciarzem w historii prezydentów USA był John F. Kennedy, to Clinton

² Ibidem, s. 182.

³ Ibidem.

⁴ P. Smoleński, *Największy podrywacz wśród prezydentów*, dostępny w Internecie: http://wyborcza.pl/ale-historia/1,121681,14958277,Najwiekszy_podrywacz_wrosrod_prezydentow.html [dostęp: 12.05.2017].

¹ Brian McNair, *Seks, demokratyzacja pożądania i media, czyli kultura obnażania*, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza, Warszawa 2004.

jako pierwszy polityk musiał zmierzyć się z konsekwencjami swojego życia intymnego na oczach milionów obserwatorów. Za pośrednictwem telewizji, gazet oraz Internetu informacje dotyczące skandalu w Białym Domu docierały do odbiorców w ekspresowym tempie, uniemożliwiając jego wyciszenie.

Zainteresowanie prywatnym życiem osób publicznych nie było nowym zjawiskiem zapoczątkowanym w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, jednak rosnąca liczba programów i portali informacyjnych oraz plotkarskich sprawiła, że zaczęto starać się przyciągać publiczność w sposób bardziej agresywny. Takie działania prowadziły do obnażania elit z życia prywatnego wbrew ich woli, co stawiało ich w roli ofiary żądnych skandalu mediów. Brian McNair takich sytuacji nie zalicza do swej definicji kultury obnażania, jednak uznaje je za znaczący czynnik wpływający na rozwój tej kultury, której najbardziej widocznym skutkiem jest ekshibicjonizm zwykłych ludzi. Ekshibicjonizm ten nie oznacza jedynie fizycznego neglizżu, ale również obnażanie duchowe, które – podobnie jak kultura obnażania cielesnego – jest składową kultury wyznania oraz publicznych zwierzeń, upowszechnionej na szerszą skalę w zachodnich mediach wraz z nadejściem ostatniego dziesięciolecia dwudziestego wieku.

Programy typu talk-show oraz reality-show dały możliwość obnażania się, zarówno fizycznie jak i duchowo, zwykłym ludziom chcącym w ten sposób zdobyć choćby krótkotrwałą sławę i zainteresowanie ze strony innych osób oraz mediów. Inną motywacją, dla której osoby nie należące do grona elit decydowały

się obnażać na oczach innych, była chęć uświadomienia im wagi jakiegoś problemu bądź zwrócenie uwagi na powszechnie marginalizowane grupy społeczne. Ogólna dostępność kanałów pozwalających na otwarte obnażanie się przed innymi była krytykowana za zachęcanie do czynienia tego w sposób impulsywny oraz nieprzemyślany, niosąc tym samym zagrożenie destrukcyjnego i demoralizującego wpływu na publiczność, jak i samych obnażających się. Medium, które szczególnie ułatwia obnażanie się, jest Internet. Strony internetowe dające podgląd na żywo dzięki kamerom internetowym pozwalają na pokazywanie

ciała zupełnie obcym osobom. Możliwość umieszczania roznegliżowanych zdjęć wpływa zachęcająco na osoby chcące zaprezentować swoją fizyczność światu.

„Tego typu kultura i towarzyszące jej postawy wiążą się z seksualizacją sfery publicznej, a dzieje się tak dlatego, że media stają się sceną nieskrępowanych wyznań i zwierzeń o charakterze seksualnym, połączonych kwestiami granic cenzury i tożsamości seksualnej ludzi, w wyniku czego rozwija się dyskurs pornograficzny oraz pornosfera, które są – jak sądzi Brian McNair – wyrazem dojrzałości społeczeństwa, a nie jego degeneracji”⁵⁷.

Pornosfera przynosi duże dochody finansowe, ponieważ nagość dobrze się sprzedaje. Istniejąca w mediach zasada trzech S – Seks, Śmierć, Skandal – podnosi wyniki oglądalności programów telewizyjnych oraz sprzedaż gazet. Strony internetowe zawierające tego typu treści są znacznie częściej odwiedzane przez



⁵⁷ I. S. Fiut, *Media @ Internet*, Stowarzyszenie Twórcze Artystyczno-Literackie, Kraków 2006, s. 173.

internautów niż witryny dotyczące np. świata nauki. Emocje, jakie wzbudzają tego rodzaju obrazy – oburzenie, odrazę bądź fascynację – sprawiają, że zainteresowanie nimi nie maleje; niezależnie od okoliczności, w których są przedstawiane publiczności.

Zasadą trzech S kierują się w swoich działaniach nie tylko media, ale również jednostki narcystyczne, głównie w Internecie, reprezentując tym samym cyfrową kulturę obnażania. Christopher J. Carpenter⁶ wskazał współczynnik ekshibicjonizmu, który wyznaczają cechy takie jak zorientowanie się na sobie, próżność, poczucie wyższości nad innymi oraz tendencje ekshibicjonistyczne. Osoby cechujące się wysokim współczynnikiem ekshibicjonizmu mówią szokujące rzeczy oraz ujawniają najintymniejsze szczegóły ze swojego życia, rozpaczliwie chcąc zyskać zainteresowanie innych, którego braku nie potrafią ignorować. Wykorzystują każdą okazję do zaprezentowania swojej osoby, ciała i poglądów, aby zyskać satysfakcję z bycia dostrzeżonym. Internet i powiązane z nim media społecznościowe dają możliwość nieustannego prezentowania się jednostek narcystycznych, charakteryzujących się dużym współczynnikiem ekshibicjonizmu. Takie osoby w poszukiwaniu jak najliczniejszej publiczności zabiegają o obserwatorów swoich profili w mediach społecznościowych. Fakt, czy znają się w realnym życiu czy też nie, pozostaje bez znaczenia. Korzystają one z mediów społecznościowych jako sceny, a raczej „obszary”, do zaprezentowania swoich ekshibicjonistycznych zachowań przed jak najliczniejszą publicznością składającą się z ludzi sobie

⁶ Ch. J. Carpenter, *Self-promotional and anti-social behavior*, *Personality and Individual Differences*, 52 (4) 2012.

MYŚLI

ANDRZEJA PIERZCHAŁY

- ***Kto robi co chce, odczuje czego nie chce.***
- ***Stopień agresywności jest wprost proporcjonalny do stopnia głupoty.***
- ***Wystartować możemy, wylądować – musimy.***

znanych, jak i zupełnie obcych. Jednostka narcystyczna nie przykładą wagi do pielęgnowania znajomości zawartych w realnym życiu za pomocą Internetu i mediów społecznościowych. Skupia się ona na prezentowaniu siebie poprzez częste aktualizowanie profilu i zamieszczanie zdjęć, najczęściej roznegliżowanych bądź jednoznacznie wyzywających. Seks i skandal zagościły w mediach społecznościowych, pielęgnując cyfrową kulturę obnażania.

„Żyjemy z jednej strony w społeczeństwie ekshibicjonizmu, a z drugiej strony w społeczeństwie podglądactwa. Używamy obrazów i manipulujemy wizerunkiem, aby przekazać innym jakieś znaczenia. Ale udaje się to dlatego, że wszyscy gotowi jesteśmy odczytywać obrazy, zwracać uwagę na wizerunki i odkrywać przekazywane przez nie znaczenia. Nadajemy i odbieramy na tej samej *wizualnej fali*. Wizualność staje się główną treścią najważniejszego społecznego procesu: międzyludzkiego komunikowania się”⁷. □

Autorka jest absolwentką studiów magisterskich z socjologii na Wydziale Humanistycznym AGH w Krakowie.

⁷ P. Sztompka, *Socjologia: analiza społeczeństwa*, Znak, Karków 2002, s. 639-640.

IGNACY S. FIUT

Miłość przywraca autentyczność

Bez sztucznej pozy – to kolejny tomik Janusza Szota, w którym dzieli się własnymi odkryciami co do sposobów życia współczesnego człowieka, a co dało mu do myślenia twórcze obcowanie z poezją oraz muzyką. Wcześniejsze życie, które skrętnie prowadził, sprowadzało się do typowego zarabiania i wydawania pieniędzy, których nigdy nie było dosyć. Nawet uczucia i inne emocje typowo ludzkie były zawsze postrzegane przez pryzmat pieniądza. Dopiero z latami zrozumiał, że jest to „sztuczna poza” ogółu ludzi, ale i jego osobista, którzy takie dążenia uważają za naturalne i przez ich pryzmat traktują nawet własną duchowość, bo wszystkie wartości starają się sprowadzić do cyrkulacji mamony. Sytuacja ta obudziła jego niepokój i w wierszu *Wołanie* otwierającym

zbiorek, pisze: „W galeriach blichtru / ruchome schody / wożą snobizm // kasy / niewinni złodzieje / rozdają wejściówki / do samozadowolenia // a ciska kamie / pod drzwiami”. Widać tu podwójną diagnozę artysty: „świat na sprzedaż” nie jest światem autentycznej egzystencji, ale właśnie źródłem naszej sztuczności, która wcześniej czy później odbiera człowiekowi nadzieję i niszczy jego duchowość. W innym wierszu – *O świcie* odnotowuje swoje przebudzenie i oświadcza: „Na rozpedzony / dach nieba / przyniosę instrumenty życia // obudzę zapach poranka // wyprostuję pokrętnie / spojrzenia ulic // zmyję kryształem rosy / czarne myśli // aby przeżyć / następny dzień / w zaklętym kręgu pieniądza // bez dotyku / Afrodyty”. To przebudzenia na powrót zwraca go ku przyrodzie i uczuciu miłości, które gdzieś był zagubił w „zaklętym kręgu robienia pieniądza” i poczuł jej głęboki deficyt. Ten przełom spowodował, że zmienił on styl życia bez tej „sztucznej pozy”, by od nowa odbudować swoją duchowość ludzką. Zrozumiał bowiem, że należy odstawić ten „kierat”, który „jak wierny pies / uśmiechał się / bezczelnie”.

W dalszych częściach tomiku Szot z liryzmem, ale i bardzo analitycznie odkrywa fenomen miłości do swej żony – Joanny, z którą tworzą wspólnotę nie tylko małżeńską, ale i artystyczną, podnoszącą ich kondycję duchową. Jednak zanim w pełni zaczął badać tę nową sytuację emocjonalną, w wierszu pt. *Zagubienie* stwierdził: „Nie gniewaj się / na



świat/ coraz więcej samotnych / wśród ludzi”, by następnie odkryć, że choć „poezja to nie pieniądź // każdy zachłannie / chciałby zdobyć jej jak najwięcej”. Natomiast w wierszu tytułowym *Na pewno* zadeklarował: „Jeszcze będziemy / nosić głowę / w gwiazdach // oślepi nas słońce // zatańczymy w migdałowych chmurach // zdążymy poczuć / ból doskonały // uprawiać życie / bez sztucznej pozy // a smakować / będzie jak / mleczna droga”. Takie życie odkrywa w nowym związku, który w wierszu pt. *Wieczorem* tak oto opisuje: „Wracam do Ciebie / z łąk natchnienia / aby umierać / w ramionach / twoich wierszy”. To dla poety jest miłość wcześniej nieznaną, budzącą duchowe namietności i nieklamane zdziwienie. Owocami takiej miłości – sądzi poeta – „nakarmimy / wszystkie dni / aż po niebo”. Rodzą one nieklamana bliskość emocjonalną i cielesną, tworząc dla obojga dotąd niespotykane wymiary duchowe, rozpalające „pragnienie siebie”. Samotność autora znika sukcesywnie, ogrzana tym namietnym uczuciem, daje nowy smak jutra i pozwala z nadzieją zawierzyć przeznaczeniu. To nowe życie powoduje, że oddychają sobą wzajemnie: tworzą cudowny „zapach życia” wspólnego w przyszłości. W utworze *Odkrycie V* oddającym atmosferę tej uduchowionej miłości, transcendującej uczucia obojga nawet ku kosmicznym przestrzeniom, Szot konkluduje: „Jak dobrze // w sobie / odnaleźliśmy siebie / dla siebie // patrząc w światło / czując siebie / wszędzie”. Wtedy i śmierć i wieczność nie jest już dramatem, bo „ich bycie” jest w stanie udźwignąć i to brzemień ludzkiego losu. W niej bowiem najczęściej „nie-wyraźalne” zostaje odważnie ujawnione, by odrodzić nadzieję możliwości konstruktywnego współ-bycia.

Trudno nie zainteresować się taką eksplozją i eskalacją miłości poety,

MYŚLI ANDRZEJA PIERZCHAŁY

- *Ten kto nienawidzi nienawiści, kogo złości złość – pozostaje bez wyjścia.*
- *Nie wolno być przypadkiem, który spotyka nas w życiu. Trzeba być sobą.*
- *Są ludzie, którzy widzą w drugim człowieka, i tacy, którzy w drugim widzą narzędzie do wykorzystania.*
- *Tylko zdesperowani brakiem poczucia własnej wartości przekraczają granice obyczaju, moralności i dobrego smaku.*
- *Im więcej osób wypowiada swoje zdanie, tym większy powstaje chaos.*

która rozwinęła się jak szalona namietność prawie z niczego. Rzadko bowiem ludzie mają odwagę o tym pisać, dzielić się tym doświadczeniem, poeta zaś odważył się „bez grymasu na twarzy” upublicznić to głębokie przeżycie, by dać otuchę i nadzieję innym ludziom w tym samotniejącym coraz szybciej świecie, pokazując „drogę obejścia” niedogodności egzystencjalnych naszych czasów. □

J. Szot, *Bez sztucznej pozy* Redakcja i posłowie: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta; grafika na okładce: Janusz Szot, Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2017, s. 68.

Kwestia żydowska i nie tylko

„Co ty byś zrobił, jakbyś Żyda u siebie znalazł?” Tak oto reklamuje POLITYKA książkę p. Anny Bikont *Sendlerowa. W ukryciu*: Nowa, nieoczywista biografia niezwykłej Polki.

Nie wchodząc w szczegóły tej biografii – choć „Anna Bikont przekopała archiwa, dotarła do wielu rozmówców i odkryła nowe, czasem zaskakujące fakty z życia bohaterki” – chcę skupić się, jak to czynią filozofowie, tylko na samym tytułowym zagadnieniu: przyjęcia albo odrzucenia „obcego”.

Nie wiem, co bym zrobił wtedy, bo miałem wówczas może rok, albo mnie jeszcze nawet nie było na świecie. Urodziłem się w czasie klęski stalingradzkiej, czyli z początkiem lutego 43. Piszę mimo tego o sobie, w pierwszym imieniu, ponieważ pytanie jest adresowane również do mnie („co byś zrobił”). Zabieram głos, ponieważ przypadkiem jestem filozofem, a i sam wiek też mnie do tego uprawnia, jak sądzę.

Refleksja historyczna jest celowa wtedy, kiedy coś daje współczesnemu człowiekowi. Przelóżmy zatem powyższe pytanie na obecne okoliczności. No więc Żyda jako takiego, z pejsami, w chałacie, nie znajduję i raczej nie znajdę. Mogę spotkać co najwyżej – choć jakoś nie pchają się do mojego domu – wielu potomków starozakonnych. Chętnie za to ich czytuję, bo mają wiele ciekawego do powiedzenia. Od Infelda (Krakus, współpracował z Einsteinem), przez Passenta (pisywał i pisuje w *Polityce*), po Hartmana (też tam pisuje felietony, a poza tym jest świetnym filozofem, uprawiającym bliską mi, jakże trudną dziedzinę filozofii – etykę).

Rzecz w tym, kto jest dla mnie obcym i na ile, tj. czy do wytrzymania. Bo Passentowi, Hartmanowi czy Einsteinowi (dopiero!) otworzyłbym drzwi z miłą chęcią, licząc na poszerzenie mojego przeciętnego horyzontu. Także wówczas, kiedy chciałby

się ukryć pod moim dachem. Choćby tylko z prostego wyrachowania: dziś jemu, jutro mnie (może być potrzebne ukrycie). Inna sprawa – jak mniemam – z Arabem (muzułmaninem). Hartman nie odzęgkuje od siebie złych duchów, gdy się spotykamy (tak myślę i „nie potrzebuję się go bać”), co do muźulmanina zaś nie mam już takiej pewności i muszę zachowywać ostrożność w myśl starożytniej formuły: wierz, ale bacz komu (*fide sed cui vide*). Hartman może się czuć kimś lepszym genetycznie (choć nie w tym samym sensie, co niejaki Suski), lecz nie mogę nie uznać jego wyższości jeśli chodzi o intelekt i wykształcenie (czytałem jego prace).

Nie jestem uprzedzony, gdy chodzi o muźulmanów. Studiowałem co nieco, gościłem pod moim dachem wyznawcę Mahometa, rozumiem jego motywę (sprzeciw wobec ekonomicznego panoszenia się USA w rejonie etnicznie arabskim). Dopóki będzie naszym gościem respektującym naszą kulturę – przyjmę go ponownie. Ale też zapytam u progu: czy przybywa do nas, bo mu się u nas podoba, chce się czegoś nauczyć, albo wręcz przeciwnie: ażeby nas rzucić na kolana przed Allahem, jak to jego współwyznawcy próbowali parokrotnie (nasi zresztą tak samo, a symbol krzyża czy półksiężycy nie robił i nie robi tu wielkiej różnicy).

Bo to dla mnie w końcu różnica niewielka, czy ktoś mi każe modlić się 2 razy dziennie, 3 razy dziennie lub 5 razy. Na kolanach, bijąc czołem o podłoże, czy przybierając inną pozycję, np. w kucki. Nie chcę. I piszę to, by ktoś jeszcze, oprócz mnie, się zastanowił, czy tak być musi. Ciągłe na kolanach? Przed kim właściwie? Przed kimś ukrytym, kto tymi sfanatyzowanymi ludźmi (wiernymi) steruje dla swoich jak najbardziej doczesnych celów. Żyd, muźulmanin, chrześcijanin – co mi za różnica? □

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI

Polska racja stanu w 1950 r.

14 kwietnia 1950 roku podpisano porozumienie zawarte pomiędzy rządem RP i episkopatem polskim kościoła katolickiego. Rozmowy toczyły się od 1949 roku i były podjęte z inicjatywy kardynała Stefana Wyszyńskiego. Poniżej przytaczam fragmenty porozumienia, w których episkopat wyraża swoje poglądy o rzeczywistości, w jakiej znalazła się ówczesna Polska:

„W celu zapewnienia Narodowi, Polsce Ludowej i jej obywatelom najlepszych warunków rozwoju oraz możliwości wszechstronnej i spokojnej pracy – Rząd Rzeczypospolitej, który stoi na stanowisku poszanowania wolności religijnej oraz Episkopat Polski, mający ba względnie dobro Kościoła i współczesną polską rację stanu – regulują swe stosunki w sposób następujący:

1. Episkopat wezwie duchowieństwo, aby w pracy duszpasterskiej zgodnie z nauką Kościoła nauczało wiernych poszanowania prawa i władzy państwowej.
2. Episkopat wezwie duchowieństwo, aby w swej działalności duszpasterskiej nawoływało wiernych do wzmożonej pracy nad odbudową kraju i nad podniesieniem dobrobytu Narodu.
3. Episkopat Polski stwierdza, że zarówno prawa ekonomiczne, historyczne, kulturalne, religijne, jak i sprawiedliwość dziejowa wymagają, aby Ziemia Odzyskane na zawsze należały do Polski. Wychodząc z założenia,

że Ziemia Odzyskane stanowią nieodłączną część Rzeczypospolitej, Episkopat zwróci się z prośbą do Stolicy Apostolskiej, aby administracje kościelne, korzystające z prawa biskupstw rezydencjalnych, były zamienione na stałe ordynariaty biskupie.

4. Episkopat w granicach sobie dostępnych będzie się przeciwstawiał wrogiej Polsce działalności, a zwłaszcza antypolskim i rewizjonistycznym wystąpieniom kleru niemieckiego.
5. Zasada, że Papież jest miarodajnym i najwyższym autorytetem Kościoła, odnosi się do spraw wiary, moralności oraz jurysdykcji kościelnej, w innych natomiast sprawach Episkopat kieruje się polską racją stanu.
6. Wychodząc z założenia, że misja Kościoła może być realizowana w różnych ustrojach społeczno-gospodarczych, ustanowionych przez władzę świecką, Episkopat wyjaśni duchowieństwu, aby nie przeciwstawiało się rozbudowie spółdzielczości na wsi, ponieważ wszelka spółdzielczość w istocie swej jest oparta na etycznym założeniu natury ludzkiej, dążącej do dobrowolnej solidarności społecznej, mającej na celu dobro ogółu.
7. Kościół – zgodnie ze swymi zasadami – potępiając wszelkie wystąpienia antypaństwowe będzie przeciwstawiał się zwłaszcza nadużywaniu uczuć religijnych w celach antypaństwowych.

8. Kościół katolicki, potępiając zgodnie ze swymi założeniami każdą zbrodnię, zwalczać będzie również zbrodniczą działalność band podziemia oraz będzie piętnował i karał konsekwencjami kanonicznymi duchownych, winnych udziału w jakiegokolwiek akcji podziemnej i antypaństwowej.
9. Episkopat, zgodnie z nauką Kościoła, będzie popierał wszelkie wysiłki zmierzające do utrwalenia pokoju i będzie się sprzeciwiał, w zakresie swych możliwości, wszelkim dążeniom do wywołania wojny.¹

Porozumienie w imieniu episkopatu podpisali biskupi: Z. Choromański, T. Zakrzewski i M. Klepacz; w imieniu rządu ministrowie: E. Ochab, W. Wolski, F. Mazur.

Już we wstępie episkopat powołuje się na „polską rację stanu”, w kolejnych punktach porozumienia wyjaśnia wiernym, co w 1950 roku – jego zdaniem – kryło się pod tym pojęciem: poszanowanie prawa i władzy państwowej, odbudowa kraju i dobrobyt narodu, uznanie ziemi odzyskanych za integralną część Rzeczypospolitej, poparcie dobrowolnej spółdzielczości na wsi, potępienie wszelkich wystąpień antypaństwowych, potępienie zbrodni popełnianych przez zbrojne podziemie oraz udziału duchownych w działalności antypaństwowej, utrwalenie pokoju, sprzeciwianie się działaniom zmierzającym do wywołania wojny. Przypomnieć należy realia, w jakich znalazła się Polska po 1945 roku: władza państwowa znajdowała się w rękach komunistów, a w wyniku umów z Jałty i Poczdamu Polska znalazła się w strefie wpływów ZSRR. Mocarstwa zachodnie uznały rząd tymczasowy zdominowany

przez komunistów za prawowity rząd polski. Naród polski był wyczerpany długoletnią wojną i okupacją, gospodarka była w ruinie. Brakowało elit wymordowanych przez okupantów. Ludność Polski, licząca w 1938 r. 35 mln, zmalała do 25 mln mieszkańców w 1950 r.

Porozumienie spotkało się jednak z krytyką i niezrozumieniem zarówno u części kleru jak i sił opozycyjnych wobec ówczesnych władz komunistycznych. Krytykowany za uległość wobec komunistów był kardynał Wyszyński. W odpowiedzi na zadane pytanie: czy można umawiać się z szatanem, prymas tysiąclecia odpowiedział: z szatanem – nie, z człowiekiem – tak.

Często pada pytanie, co dało Kościołowi i Narodowi polskiemu porozumienie z 1950 roku? Jakie cele przyświecały kardynałowi Wyszyńskiemu, który był inicjatorem sprawy? Pomimo że porozumienie było po stronie komunistów łamane i nieprzestrzegane (dopisek redakcji FMW: po stronie kościelnej też nie wszyscy biskupi i księża je respektowali, jako że wielu z nich wyżej stawiało watykańską rację stanu i czuło się obywatelami Watykanu w pierwszej kolejności – jednym z przykładów odmowa płacenia podatków od nieruchomości, które otrzymali od Państwa, np. na Ziemiach Zachodnich), pozwoliło ono Kościołowi i Narodowi w miarę łagodnie przejść przez mroki stalinizmu i przetrwać.

Porozumienie było dokumentem, na który można się było zawsze powołać, i do którego zapisów się odwoływać. Kościół katolicki pomimo nasilających się prześladowań zachował swoją pozycję i bez większych strat doczekał upadku stalinizmu w 1956 roku (red.: sprzeczność, bezstratne nasilanie się prześladowań to oksymoron). nasuwa się pytanie, jaką postawę mieli zając

¹ http://www.opoka.org.pl/biblioteka/T/TH/THW/porozumienie_RP_1950.html

prości obywatele, ludzie wierzący, w sytuacji, w której z jednej strony episkopat zawierał ugodę z władzą komunistyczną, a z drugiej zbrojne podziemie wzywało do walki zbrojnej z tą władzą i walkę taką prowadziło (red.: często przy ideowym i moralnym wsparciu części duchowieństwa)? Jak mieli się zachować żołnierze, milicjanci, urzędnicy?

Większość narodu miała dość wojny, ludzie chcieli spokojnie żyć, pracować, wychowywać dzieci. Pragnęli pokoju. Dzisiaj, kiedy potępia się wielu z naszych ojców i dziadków, nazywając ich zdrajcami czy targowicznymi, ponawiam pytanie: co mieli wówczas zrobić? Zbuntować się? Uciec do lasu i oczekiwać tam wybuchu III wojny światowej? Myślę, że drogę wskazał kardynał Wyszyński i episkopat w porozumieniu z 14 kwietnia 1950 roku. Należało przede wszystkim zachować substancję narodową, odbudowywać kraj i przetrwać!

W ówczesnych warunkach geopolitycznych, bez nowej wojny światowej, zmiana systemu zaprowadzonego przez komunistów w Polsce była nierealna i niemożliwa. A wojny nie chciał wtedy nikt, może oprócz garstki ukrywających się po lasach desperatów. Nasi ojcowie, matki, dziadkowie i babcie odbudowujący zrujnowany kraj, którym przydarzyło się przeżyć w PRL większość dorosłego życia, zasługują na szacunek i chwałę! Za to, że zgodnie z polską racją stanu odbudowali kraj z ogromnym wysiłkiem i poświęceniem, że przetrwali, że dali nam wykształcenie. To dzięki ich postawie żyjemy dzisiaj w demokratycznej i wolnej Polsce.

Taki też cel przyświecał kardynałowi Wyszyńskiemu, który w 1950 roku doprowadził do podpisania porozumienia z rządem komunistycznym. Należy

podkreślić, że część społeczeństwa uwiaryzła w ideologię komunistyczną i w socjalizm. Takie poglądy reprezentowała także część duchowieństwa tworząca ruch „księży patriotów”. W 1950 roku było takich księży około 1 tysiąca, czyli 10% ogółu duchowieństwa w Polsce. Ten czynnik należy również brać pod uwagę przy ocenie tamtejszych czasów i postaw ludzi żyjących w owych czasach. □

- **Wiara, wiedza i dobro**

Wierzyć znaczy chcieć czegoś, co może być niedosiężne. Np. że można schudnąć, gdy się jest na ścieżce zdrowia ku „dobrze wyglądasz”. Wiedza, że to nieosiągalne, nie wygląda dobrze.

Jan Socha

- **To smutne, że głupcy są tak pewni siebie, a ludzie mądrzy tak pełni wątpliwości.**

Bertrand Russell

- **Tylko dwie rzeczy są nieskończone: wszechświat i ludzka głupota. Co do tej pierwszej są jednak pewne wątpliwości.**

Albert Einstein

- **Głupcy nie są tak głupi, zawsze są w większości.**

Stanisław Jerzy Lec

- **Wszystko, czego człowiek potrzebuje do życia, to ignorancja i wiara w siebie.**

Mark Twain

Jak to było ze studiami religioznawczymi w Krakowie?

We wczesnych latach siedemdziesiątych zamarzyło mi się – i paru moim Kolegom aktywnym w Towarzystwie Krzewienia Kultury Świeckiej – podjęcie pilnego, jak sądziliśmy, zadania kształcenia religioznawczego na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie pracowałem w Instytucie Filozofii jako asystent prof. Jana Legowicza, wówczas wiceprezesa Société Internationale de Philosophie Médiévale (z siedzibą w Louvain). Zajmowałem się wtedy – pod kierunkiem Profesora – historią chrześcijańskiej filozofii średniowiecznej. Chodziło nam o to, ażeby odpowiedzieć – jak to się wówczas mówiło – na określone zapotrzebowanie społeczne. Obserwowaliśmy bowiem wtedy odradzanie się – wręcz wzmożenie – swoistej kontrreformacji w naszym systemie kształtowania świadomości społecznej, czyli przywracanie indoktrynacji irracjonalistycznej (typu katolickiego) w naszym systemie edukacji, na przekór tendencji oświeceniowej i sekularyzacyjnej (zwanej laicyzacją), popieranej przez władze polityczne PRL. Owoce tego zbieramy dzisiaj. Chociażby w postaci rozpowszechnianego przekonania, że d’Alembert, Diderot, Wolter i wielu innych, czyli cała sztafeta myślicieli i edukatorów Francuskiego Oświecenia, to zastęp szkodników, który „zatruił” zdrową atmosferę katolickiej (głównie francuskiej i hiszpańskiej) Europy. Aż dziw, dodajmy, że i w Polsce tak wielu księży – w tym niemało jezuitów – uległo temu „zepsuciu”. Przykłady: Kołłątaj, Konarski, Staszic.

Nasi ideowi przeciwnicy podnosili powoli głowy, po ich zastraszeniu w latach 50 ubiegłego wieku. Kiedy my mówiliśmy w latach siedemdziesiątych, że światopogląd – w domyśle: naukowy – to ważna sprawa, oni, np. prof. Adamczyk, którego zatrudniliśmy etatowo w Instytucie Religioznawstwa (jako docenta), ponieważ byliśmy otwarci, twierdzili, że pojęcie światopoglądu (w domyśle: naukowego) nie ma sensu, nie jest naukowe, lecz ideologiczne. A co ideologiczne – jest brzydkie, pachnie komunizmem (inaczej: bolszewizmem).

„Po owocach ich poznać”. A jakie mamy owoce podejścia negującego wartość i praktyczną rolę postawy racjonalistycznej? Katecheza od przedszkola, przez szkoły podstawowe, licea i religijną pieczę nad studentami, po „ideowe wsparcie wiernych” ze strony Kościoła za pośrednictwem kapelanów w szpitalach, Straży Pożarnej, policji oraz w Służbach Granicznych. Skutek? Każdy widzi. Każdy nieotumaniony. „Słuchać hadko”, jak by się chciało określić wypowiedzi wykształconych w owej antyoświeceniowej szkole „hakatumbowatych”. Aprobujących – m. in. – egzorcyzmowanie jako

praktykę terapeutyczną wyższego rzędu (poza medycznego, czyli ponad naukowego). Z drugiej strony wszyscy bodaj uczeni teologowie (nawiasem: Jezus mawiał ponoć o „uczonych w Piśmie”) biorą środki przeciwbólowe, gdy im coś dolega, nie ograniczając się do pacierzy i „ufności w Bogu”. Decydują się też na ogół, by korzystać z pomocy chirurgów i innych „poprawiaczy dzieł Stwórcy”. Co nie przeszkadza w urządzaniu zbiorowych seansów z udziałem „czarodziejów” pokroju Harrisa uzdrawiającego w kościołach, czy też Bashoboro na stadionie, w asyście katolickiego biskupa, z liturgią mszalną.

My zaś, we wczesnych latach siedemdziesiątych – widząc, ku czemu zmierzają wysiłki władz politycznych i kościelnych, tzn. do normalizacji stosunków między Państwem a Kościołem poprzez oddanie szkolnictwa w ręce poświęcone, tj. pod programowe kierownictwo episkopatu i biskupów, – podjęliśmy trud hamowania tej indoktrynacji à rebours. Na początku zatrudnialiśmy jako wykładowców Studium Podyplomowego Filozoficzno-Religioznawczego, a potem Instytutu Religioznawstwa, za zgodą władz Uczelni, nie ludzi pokroju Patryka Jakiego, „obatela” Ryszarda Henry Czarneckiego czy „genetycznego inteligenta” Marka Suskiego, nie pokroju ks. Dariusza Oko („specjalisty” od „ideologii gender”) czy ks. Franciszka Longchamps de Bérier, tego od „bruzdy dotykowej” u dzieci z *in vitro* (ci dwaj byli wówczas „w powijakach”), lecz takich uczonych jak prof. prof. Józef Keller (wcześniej wykładający etykę na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim), Zygmunt Poniatowski (autor m. in. pozycji *Logos*

prologu ewangelii Janowej), doc. doc. Jan Wierusz-Kowalski oraz Mirosław Nowaczyk (z Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk), Tadeusz Margul (z Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie) i Tadeusz Płużański (IFiS PAN), religioznawców i filozofów religii o europejskiej powadze. Patronem czy moderatorem był tu prof. Jan Legowicz z Uniwersytetu Warszawskiego oraz IFiS PAN (doktorat z filozofii i pedagogiki uzyskał on na Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim, którego rektorem był dużo później dominikanin, prof. Józef Maria Bocheński). Zdalnie zaś patronował także temu naszemu przedsięwzięciu prof. Andrzej Nowicki, filozof religii, specjalista od filozofii Odrodzenia.

Tymczasem na stronie internetowej krakowskiego Instytutu Pamięci Narodowej znajdujemy odnośnik i sprawozdanie z Ogólnopolskiej Konferencji Naukowej „Ile z nauki, ile z ideologii. Religioznawstwo w PRL” – Kraków, 26 października 2017 r. Wśród wymienionych tam uczestników owej konferencji znajdujemy tylko jedno nazwisko osoby mogącej cokolwiek pamiętać z tamtych czasów i wydarzeń, choć – jak wynika z jej dzisiejszej postawy wobec przeszłości Instytutu Religioznawstwa i z samego faktu firmowania powyższego ipeenowskiego w gruncie rzeczy przedsięwzięcia swoim tytułem naukowym oraz dorobkiem – pamięta on początki IR i jego założenia programowe jak przez mgłę. No cóż, z racji swojego wieku nie miał „szczęścia”, by osobiście brać udział w ich formułowaniu. Przyszedł na gotowe. I tu znalazł swoje szczęście, jak wielu innych młodych naukowców:

możliwości i perspektywę rozwoju naukowego, nie pomijając awansów. Mowa tu o prof. dr. hab. Andrzeju Szyjewskim, który przedstawił na rzeczonej konferencji wykład pt. *Przekształcenia programu religioznawczych studiów magisterskich w IR UJ w latach 1980-1992*.

Konferencja, jak czytamy, miała odpowiedzieć (sobie!) na kilka pytań: *W jaki sposób religioznawstwo jako nauka dawało sobie radę w wieku ideologii? W jakim stopniu oczekiwania władz PRL utrudniały rozwój religioznawstwa jako nauki? Czy religioznawstwo spełniało oczekiwania władz w zakresie walki ideologicznej? Na ile ruch laicki spełniał rolę służebną dla partii, aparatu represji, propagandy? Jaką rolę odgrywała Służba Bezpieczeństwa? Z jakimi naciskami i oczekiwaniami władz przychodziło się mierzyć poszczególnym ludziom i placówkom? Na te i inne pytania chcielibyśmy odpowiedzieć na zorganizowanej konferencji*. Napisałem w nawiasie „sobie”, gdyż nie zostaliśmy na nią zaproszeni my – tj. Pawlica, Franczak i ja – którzy jako jedyni jeszcze żyjący założyciele IR mamy na ten temat coś do powiedzenia, mianowicie jak to sobie dawaliśmy radę z wymienionymi „przeszkodami”. Coś więcej, niż ci uczeni, którzy podówczas – tj. w latach 70 – „nosili koszulkę w zębach”, jeżeli w ogóle już byli na świecie i jakąś koszulkę nosili. Nie zaproszono nas, ani nie poproszono o wypowiedzi na piśmie (co do Franczaka i mojej osoby wiem to na pewno, co do Pawlicy, o mało co konwertyty, nie wiem) Jak mniemam, nasze relacje o tym, jak to wówczas było, mogłyby być „nie po linii ani nie na czasie”, jak to się w PRL mawiało o zdaniu odrębnym.

W owej „odpowiedzi” natykamy się m. in. na takie zdanie, że „Władze PRL usiłowały bowiem wykorzystywać je (tj. religioznawstwo – JK) jako narzędzie walki z religią jako taką (...)”. My zaś nie zajmowaliśmy się „religią jako taką” (tj. bytem poza fizycznym, który nie był nam dany), lecz historycznym judaizmem,

A naszym celem jako organizatorów zrazu Studium Podyplomowego Filozoficzno-Religioznawczego przy Instytucie Filozofii UJ, a następnie samodzielnego Instytutu Religioznawstwa przy Wydz. Filozof.-Hist. UJ było – powtarzam to raz kolejny – przygotowywanie nauczycieli do rozmowy z uczniami na tematy światopoglądowe i etyczne (w tym pierwszym) oraz kształcenie studentów do prowadzenia lekcji z religioznawstwa awyznaniowego, tj. z teorii oraz historii religii („religij”). Przewidywaliśmy bowiem nieuchronność wyjścia Polski poza zaścianek środkowowschodniej Europy i masowe stykania się Polaków z przedstawicielami innych kultur, z wyznawcami ważnych dla nich religii. Kiedy poziom orientacji naszych rodaków w tym względzie był taki jaki był i nie wróżył kulturowych spotkań bliskiego stopnia. Zaczynaliśmy naszą pracę – którą pewne czynniki opiniotwórcze określały mianem ideologicznej indoktrynacji, ateizacją, a na użytek ludu wrywaniem Boga z serc Polaków – od uświadamiania młodzieży (tj. licealistom, w ramach Uniwersytetów Młodych Racjonalistów), nauczycielom odbywającym u nas studia podyplomowe filozoficzno-religioznawcze, oraz naszym studentom, że istnieją różne religie i wyznania (liczono bowiem wówczas w świecie ok. 1500 religii, a w samym tylko świecie

chrześcijańskim ok. 2000 wyznań). To było rzeczywiście wyzwanie dla katolickiego zaścianka, które ilustruje odpowiedź jednego ze studentów 4 roku historii pewnej krakowskiej uczelni wyższej. Na moje pytanie (na początku wykładu o wyznaniach w Polsce, kiedy chciałem wybrać wyznania do omówienia, a było ich podówczas ok. 40 – miałem do dyspozycji 15 godzin, sprawy są skomplikowane i długa historia), student ów, kiedy pytałem, jakie słuchacze znają już wyznania w Polsce poza kościołem rzymskokatolickim, bąknął (kryjąc się zresztą za plecami kolegi): „kociarze”. Nie wiedząc, rzecz jasna, że źródłosłowem tego pogardliwego określenia, czyli epitetu, nie jest określenie miłośnika kotowatych, lecz niemiecki wyraz *Ketzerei*, co się tłumaczy – albo raczej przejmując – w formie wyrazu „kacerstwo”. Chodzi tam o herezję czy heretyckość. Ow wyraz *Ketzer* wyprowadza się mianowicie od katarów (καθαροί, czytają: katharoi) w średniowiecznej Francji Południowej, nie od kota/kotki (*die Katze*); choć i takie skojarzenia miewano, mianowicie kojarząc kota z diabelskim pomiotem.

Kardynał S. Wyszyński groził nam nawet w swoim kazaniu w dniu św. Stanisława, na Skałce, po powołaniu przez rektora UJ Studium Podyplomowego Filozoficzno-Religioznawczego, posługując się słowami samego Zbawiciela, „kamieniem młyńskim u szyi i wrzuceniem do wody” za to „zgorzenie”, które według niego uprawialiśmy.

Byłem tych zdarzeń *pars magna*. Ale niczego nie żałuję i niczego się nie wstydzę po kilkadziesiątu już latach. Niczego z tego, co robiliśmy dla nauki polskiej, dla dydaktyki, prościej: dla

OŚWIATY, w której przez kilkadziesiąt lat panował zastój, gdy chodzi o prace opisujące – bez fanatycznego zacierzenia – religijność i jej znaczenie we współczesnym świecie, a także o wykłady i zwykłe rozmowy na tematy, jak wówczas mawialiśmy – w kręgach laickich – światopoglądowe.

Potem następowały, jak to ujął prof. Szyjewski, „przekształcenia programu religioznawczych studiów magisterskich w IR”. W końcu mamy pieczę IPN nad prawidłowym kształtowaniem świadomości oraz postaw naszych współobywateli „na odcinku światopoglądu naukowego”. Teraz już można mówić i pisać o światopoglądzie, gdy jest propagowany niemal wyłącznie ten właściwy, tj. religijny.

To jednak, jak się potoczyły dalsze losy naszego projektu bezstronnych badań w zakresie teorii i historii religii, filozofii religii budowanej na innym fundamencie niż metafizyka – jak to robiła na KUL Józefa Zdybicka – a mianowicie na podstawach, skrótowo mówiąc, historycznych i poniekąd nawet neopozytywistycznych, z socjologią czy psychologią religii, nie jest już powodem mojej dumy. Człowiek strzela – Pan Bóg kule nosi. I poniosło nasze dzieło laickie w zamierzeniu – tj. Instytut Religioznawstwa – w kierunku konfesyjnie biorąc „właściwym”, aż po współpracę z IPN.

My, założyciele IR w latach 70, robiliśmy wszystko, żeby wyzwolić naukę o religiach – u nas w Polsce – spod dyktatu niekompetentnych czynników i organów sprawujących nadzór nad kierunkami oraz charakterem badań naukowych. Mieliśmy przeciwko tej inicjatywie – poza Kościołem reprezentowanym

podówczas przez wspomnianego Prymasa Polski, a na miejscu przez arcybiskupa Wojtyłę – ówczesny Komitet Wojewódzki PZPR w Krakowie, gdzie wysokie czynniki uważały, iż chcemy uczyć religii na UJ. Komitet Centralny PZPR podówczas stawiał na ideowy kompromis z Kościołem i tu jest – uważam – pierwotne źródło ostatecznego fiaska naszej inicjatywy, o której wyżej.

Nam się ten zamierzony obiektywizm udawał, bo nie byliśmy religijnie zaangażowani. Politycznie – po trosze tak, lecz z intencją i dla możliwości uprawiania nauki bez uprzedzeń. *Sine ira et studio*. Po zajmującym się etyką docencie Janie Pawlicy (dyrektorze w latach 1974-1980) rządy wziął w swoje ręce prawnik i politolog w jednej osobie doc. Jacek Majchrowski (1980-1986), następnie socjolog doc. Włodzimierz Pawluczuk (1986-1993), po nim psycholog doc. Halina Grzymała-Moszczyńska (1993-1996), po niej polonista i religioznawca dr Kazimierz Banek (1996-1999).

Właściwie udawało się nam to do czasu, gdy nastąpiło przesilenie i zmiana programu. Także, oczywiście, zmiana władz IR. Nowe władze pozbywały się z Instytutu „komuchów” i dryfowały pomału ku „dobrej zmianie”, czyli ku podporządkowaniu programu i zadań Instytutu Religioznawstwa ideologicznemu celowi Kościoła katolickiego. Aż do sojuszu i wspólnej linii w kwestii genety i pierwotnych celów IR z IPN, kształtującym obecnie narodową pamięć. Tę właściwą pamięć, rzecz jasna. W tym procesie przejmowania „przewodniej roli” przez „przewodnie siły” zdarzały się interludia, lecz w końcu „sytuacja została opanowana przez kogo trzeba”.

Odbyła się więc w październiku b.r. konferencja naukowa na temat ideologicznych założeń pierwotnego Instytutu Religioznawstwa. Historyczna, ale (bo) bez świadków wydarzeń, których dotyczyła. A w każdym razie bez – żyjących jeszcze – animatorów tego przedsięwzięcia. Powstaje ciekawe, w pełni uzasadnione pytanie: co będą wiedzieć o okolicznościach powstania czegoś tak postępowego, jakim był pierwszy w Europie Środkowowschodniej akonfesyjny Instytut Religioznawstwa, przyszłe pokolenia Polaków, dowiadujące się o tym fenomenie od obecnych uczonych, którzy nie pofatygowali się, aby „przepyttać na tę okoliczność” jego założycieli? W nauce stosuje się zasadę weryfikacji, a nawet – po Popperze – ich falsyfikacji. Jesteśmy przecież do dyspozycji: twórcy i założyciele tego Instytutu.

Obawiam się tylko, że odpowiedź na mój apel będzie korespondować z tym, co powiedział młodzieży rektor UJ prof. Gierowski (historyk) na inauguracji Uniwersytetu Młodych Racjonalistów (to też było nasze przedsięwzięcie, tj. ówczesnego TKKŚ) w auli Collegium Novum: „Pamiętajcie, że oprócz tej wiedzy, którą wam będą tutaj przekazywać nasi pracownicy naukowcy, jest jeszcze inna, wyższa prawda”. Aż się prosi, żeby zacytować w tym miejscu innego uczzonego (filozofa i teologa), przy tym górala z Łopusznej, który doszedł nawet do trzech prawd: *prowdą, tys prowda i g. prowda*). Był nim nie mniej zasłużony dla nauki ks. prof. Józef Tischner.

Czyli: nie chodzi o prawdę (naszą), lecz o rolę Instytutu. Do odegrania. Jak zwykle. Wówczas, u samych początków, było nieco podobnie: władze polityczne

chciały sterować Instytutem. Nasze umocowanie partyjne – Pawlica był wtedy I sekretarzem Komitetu Uczelnianego, a rektor Karaś członkiem egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego – dawało nam możliwość prowadzenia badań i dydaktyki podług najlepszych wzorów nauki światowej, do której mieliśmy dostęp jako lojalni wobec władzy obywatele. Nie bez znaczenia była tutaj znajomość języków obcych, w szczególności zaś tych zachodnich. Rękojmię kompetencji w tym względzie dawał profesorski zespół wymieniony powyżej, od którego uczyliśmy się warsztatu my młodszy podówczas.

Pytanie tylko, czy dzisiaj komuś zależy jak nam podówczas – w niezbyt wtedy cieplarnianych (dodajmy) czasach – i ma dość determinacji po temu, żeby samemu dążyć wedle najlepszej woli i wiedzy do możliwie bezstronnego opisu rzeczywistości? Aby tworzyć narzędzia dla powściągnięcia niebezpiecznych trendów, wręcz zagrożeń? Nie tyle siłowe, czy izolacjonistyczne (żeby się odgradzić murem), co intelektualne, żeby sprostać np. wyzwaniu – mówiąc po imieniu – islamistycznemu, albo innej doktrynie „czystej ziemi”? Nasi starsi już to przerabiali, wielu z nich tego nie przeżyło. Ale mamy – chyba – jeszcze na tyle zdrowego rozsądku, jako naród, żeby nie dopuścić do tragicznej powtórki z historii?

My – racjoniści – wierzymy, że jedynym ratunkiem przed jakimkolwiek zagrożeniem jest rozum, tzn. intelektualna trzeźwość oraz bystrość, dające

szansę zapobiegania i zapobieżenia niekorzystnemu biegowi wydarzeń. Środki religijne – jak np. Święta Księga czy różańce – są po obu stronach obecnego starcia ideologii. Muzułmanie też mają swój różaniec liczący sto paciorków, przy których rozpamiętuje się atrybuty Allacha. My zaś – ta garstka skupiona m.in. w kręgu niniejszego Forum Myśli Wolnej – przedkładamy jak wówczas, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, myślenie nad ideologią i w nim pokładamy nasze nadzieje. Tego uczyliśmy już w latach siedemdziesiątych naszych słuchaczy. Nasi oponenti mieli jednak więcej „argumentów” i wygrali walkę o „rząd dusz”, zagwarantowany im zresztą przez Konkordat „na wieki wieków”. Nie tylko to wygrali, bo także konkretne środki finansowe, jak fundusz kościelny, uposażenia katechetów czy kapelanów, jak dobra przyznane przez Komisję Majątkową (restytucja budynków i gruntów ongiś formalnie należących do Kościoła), i wiele innych przywilejów. Imponujących ludowi bardziej niż nasze apele o kierowanie się rozsądkiem. Dominikanin Józef Maria Bocheński, rektor uniwersytetu we Fryburgu Szwajcarskim, miał takie powiedzonko: racja fizyka, a Kaśka butów nie ma.

My zaś, świeccy racjoniści (wśród duchownych też się takowi trafiają – wspomniany Bocheński też był na swój sposób racjonalistą), mamy chyba lepsze samopoczucie od wspomnianej Kaśki, bo prócz butów mamy (jeszcze?) nawet skarpetki. □



Grób Niechcianego Żołnierza

Minęła kolejna rocznica rozpoczęcia formowania w Sielcach nad Oką I Dywizji WP. 12 października 1943 roku pod miejscowością Lenino polskojęzyczny związek taktyczny, dla zdenerwowania „prawdziwych” polskich patriotów nazwany I Dywizją Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, podjął udaną próbę przełamania frontu niemieckiego. Wydawałoby się: zwykła żołnierska robota, gdyby nie to, że dzisiaj tych którzy ją wówczas wykonali usiłuje się często poniżyć, lub w najlepszym przypadku wymazać z historii; a to dla zaspokojenia czyjegoś głodu nienawiści, bądź tylko dla wykonania ideologicznego zlecenia. *Nota bene* ci, którzy usiłują kogoś lub cokolwiek wymazać z historii, są zwykłymi nieukami, ponieważ powinni wiedzieć, że nawet kapłanom egipskim, którzy monopolistycznie zarządzali ówczesnymi środkami masowego przekazu to się nie udało (czego najlepszym przykładem jest przypadek niejakiego Amenhotepa IV Echnatona, zarabiającego na skromne utrzymanie jako faraon).

Kim byli tamci żołnierze?

15 lipca 1943 roku, w rocznicę bitwy pod Grunwaldem złożyli przysięgę, której rota zaczynała się od słów: *Składam uroczystą przysięgę ziemi polskiej broczącej we krwi, narodowi polskiemu, umęczoneму w niemieckim jarzmie, że nie skalam imienia Polaka, że wiernie będę służył Ojczyźnie...* i kończyła wezwaniem: *Tak mi dopomóż Bóg!* Jako pierwszy słowa te wypowiadał dowódca Zygmunt Berling, legionista Józefa Piłsudskiego, przedwojenny zawodowy oficer dyplomowany (we wrześniu 1939 roku w stopniu podpułkownika dowodził 4 pułkiem piechoty legionów), a odbierał je w asyście pocztu sztandarowego kapelan dywizji, ksiądz major Franciszek Kubsz.

Kim byli tamci żołnierze?

Nosili rogatki, a na nich orla bez korony (podobnie jak marszałek Piłsudski, który do końca życia na swojej maciejówce także tolerował nieukoronowane godło, legionowego orzełka) i salutowali dwoma palcami. Śpiewali *Bogurodzicę* i *Rotę*. Byli zesłańcami roku 1939 i wnukami XIX-wiecznych polskich zesłańców.

Nie zdążyli do armii gen. Andersa, bądź też zdążyć im nie pozwolono, teraz zaś przybyli z *lagrów* i *strojbatalionów*, z Syberii i Uralu, z Workuty i Kazachstanu, by uciec swemu losowi, by walczyć w polskim mundurze i pod polską komendą. Znakomitej większości z nich obce były motywacje polityczne i ideologiczne, które, tak wcześniej, jak i obecnie (oczywiście dla odmiennych celów) usiłuje się im przykleić. Oni chcieli po prostu walczyć z Niemcami i w kilka miesięcy później szansę taką dostali.

Dyslokowana na front dywizja została włączona w skład radzieckiej 33 Armii, którą dowodził gen. Wasyl Gordow. Ze wspomnień uczestników tamtych wydarzeń wynika, że nie darzył on Polaków, którymi przyszło mu dowodzić przesadną sympatią i nie usiłował w żadnym stopniu ułatwić im wykonania najcięższego dla każdej jednostki zadania, jakim jest chrzest bojowy. Analizując jego postępowanie w przededniu bitwy i w jej trakcie można zaryzykować twierdzenie, że z jakichś trudnych dzisiaj do ustalenia powodów Gordow przyjąłby niepowodzenie

dywizji bez nadmiernego żalu. Zaczęło się od tego, że rozkazał rozpocząć próbę przełamania niemieckich pozycji przez polską dywizję od rozpoznania w walce siłami pełnego batalionu piechoty i pomimo zgłoszonych ze strony Berlinga (już wówczas generała) zastrzeżeń, rozkazu swego nie odwołał. Berling, doświadczony oficer frontowy wiedział, że rozpoznanie siłami batalionu w sposób nie budzący wątpliwości zasygnalizuje Niemcom kierunek spodziewanego natarcia całej dywizji i pozwoli im na koncentrację sił na tym kierunku. Groziło to załamaniem się ataku, ale w wojsku z rozkazami się nie dyskutuje. Do wykonania zadania wyznaczony został 1 batalion 1 pułku pod dowództwem mjr Bronisława Lachowicza. Miał on świadomość, że idzie z batalionem na pewną śmierć (powiedział to swemu szefowi sztabu tuż przed natarciem), ale w wojsku z rozkazami się nie dyskutuje. 12 października 1943 roku o godz. 6.00 1 batalion wyszedł z okopów i ruszył w kierunku nieprzyjaciela.

W pasie natarcia I Dywizji na silnie ufortyfikowanych pozycjach broniły się oddziały niemieckie wchodzące w skład 337 Dywizji Piechoty i 113 Dywizji Piechoty wzmocnione działami pancernymi typu *Ferdinand* oraz kilkoma bateriami artylerii i moździerzy. Dodatkową przeszkodą do pokonania była leżąca na przedpolu niemieckim bagnista dolina rzeczki Mierei, która jak się później okazało uniemożliwiła wsparcie polskiej piechoty przez nasze czołgi. Niemcy wiedząc o miejscu pobytu polskiej dywizji, ściągnęli na ten odcinek frontu znaczne siły, łącznie z lotnictwem bombowym, które wykonywało przez cały czas trwania bitwy nieustanne naloty na nacierające polskie oddziały. Dążyli do zniszczenia polskiej jednostki wszelkimi środkami. Taki rozkaz przeszedł z Berlina.

Natarcie głównych sił dywizji miało poprzedzić trwające 100 minut przygotowanie artyleryjskie wykonane siłami 33 Armii. Gen. Gordow skraca przygotowanie artyleryjskie do zaledwie 10 minut, a następnie rozkazuje dywizji ruszać do ataku na nienaruszone ogniem dział umocnienia niemieckie. Natarcie rusza, w wojsku z rozkazami się nie dyskutuje. Pomimo nieobezwładnienia przez artylerię radziecką nieprzyjacielskiej obrony, pomimo braku wsparcia czołgów, które utknęły w trzęsawiskach Mirei, pomimo stałego bombardowania lotniczego przez niemieckie samoloty osamotniona piechota osiąga zadziwiający sukces. Już w początkowej fazie bitwy polskie pułki przełamują na całą głębokość pierwszą linię obrony niemieckiej i wtedy natarcie polskie musi zostać wstrzymane, ponieważ walczące na naszych skrzydłach dywizje radzieckie nie są w stanie nadążyć za tempem natarcia Polaków, nie udaje im się włamać w linie obronne nieprzyjaciela (co w rezultacie skutkuje niewykorzystaniem polskiego sukcesu przez 33 Armię). Wówczas to właśnie ma miejsce niezmiernie rzadko spotykany w historii wojennych zmaganiach incydent.

Na widok idących do ataku na bagnety polskich tyralier ze stanowisk obserwacyjnych artylerii radzieckiej, z punktów dowodzenia rozległy się oklaski. Frontowi żołnierze umieli docenić jakoś wojennego rzemiosła. Poprzednio taki spontaniczny aplauz miał na tych ziemiach miejsce ponad sto trzydzieści lat wcześniej, kiedy to w czasie bitwy pod Borodino (wówczas walczyliśmy po przeciwnej stronie) książę Bagration, dowodzący centrum rosyjskiej pozycji na widok wspaniałej postawy grenadierów francuskich idących w gradzie kul karabinowych i pocisków artyleryjskich do ataku na jego redutę, zaczął głośno krzyczeć: Brawo! brawo! ...

w chwilę później padł śmiertelnie trafiony kulą.

Sukces został okupiony znacznymi stratami. W trakcie dwudniowej bitwy I Dywizja straciła niespełna 1200 zabitych i zaginionych żołnierzy oraz niespełna 1800 rannych. Straty te są porównywalne do tych, jakie poniósł cały 2 Korpus Polski w bitwie o Monte Cassino (ponad 1200 zabitych i zaginionych żołnierzy oraz niespełna 3000 rannych). Ten krwawy wysiłek został zmarnowany poprzez nieudolne i naznaczone antypolską fobią działania dowódcy 33 Armii (zresztą gen. Gordow w krótkim czasie został usunięty dyscyplinarnie ze swego stanowiska). Był to ciężki żołnierski obowiązek wykonywany z myślą o Polsce, przy którym jedyną naprawdę liczącą się motywacją ideologiczną był patriotyzm i chęć odwetu na okupancie, wszystko inne nie miało znaczenia.

W niecały rok później 16 września 1944 roku oddziały I Armii WP przeprawią się pod silnym ogniem niemieckim przez Wisłę w rejonie Czerniakowa i Siekierok idąc na pomoc warszawskim powstańcom. Po tygodniu krwawych walk na lewym brzegu resztki oddziałów desantowych i grupy powstańców, które się do nich przyłączyły zmuszone są wycofać się na Pragę. Za próbę przyścia z pomocą Powstaniu I Armia zapłaciła życiem ponad 3700 swoich żołnierzy (niektóre bataliony zostały wybite niemal do nogi), a gen. Berling stanowiskiem jej dowódcy.

Lata dziewięćdziesiąte, kolejna rocznica Powstania Warszawskiego, zbitka dwóch zdjęć prasowych – na jednym uroczystości oficjalne; biskupie fiolety i generalskie lampasy, sztandary i werble – na drugim zdjęciu; szara zaniedbana płyta pamiątkowa i samotna staruszka zapalająca znicz. To drugie miejsce upamiętnia poległych na Czerniakowie żołnierzy I Armii, którzy szli na pomoc walczącej

Warszawie – taki Grób Niechcianego Żołnierza. Historia zatoczyła koło i wróciliśmy do lat pięćdziesiątych, tyle że ówczesne miejsce skazanych na oficjalną niepamięć żołnierzy AK zajęli inni żołnierze. W taki oto sposób za postawy polityczne przywódców i dowódców kara się tych, którzy wykonywali tylko w najlepszej wierze swój polski obowiązek. Widocznie ich krew była za bardzo czerwona.

Kim byli żołnierze I Dywizji już pisałem, a kim byli żołnierze I Armii? Oprócz tych, którzy uratowali się ze Wschodu, znaczną ich część stanowili poborowi wcieleni już normalną drogą do wojska na ziemiach polskich (w II Armii WP stanowili praktycznie 100 proc.), a więc pełny przekrój społeczny naszego ówczesnego społeczeństwa, w tym także w mnogich przypadkach członkowie Armii Krajowej. Jednak dla ludzi oszołomionych swą misją poprawiania historii fakty te nie mają najmniejszego znaczenia, oni wiedzą swoje: tamto Wojsko Polskie było po prostu polskojęzyczną formacją bolszewicką.

Przypomina mi się dialog z filmu pt. *Słysząc jeszcze śpiew i rżenie koni* nakręconego w latach siedemdziesiątych – jeden z bohaterów skarży się (cytuje z pamięci): – *Po wojnie mieli do mnie pretensje, że byłem podoficerem w sanacyjnej armii. A w jakiej u licha miałem być, przecież innej wtedy nie było?* Jak bardzo ten niepowtarzalny „styl” lat pięćdziesiątych przyjął się u części dzisiejszych polityków i publicystów, dla których tamci żołnierze są tylko „mięsem armatnim” w politycznej batalii. A swoją drogą ciekaw jestem czy pp. generałowie Jaruzelski i Siwicki pofatygowali się kiedykolwiek w ciągu lat dziewięćdziesiątych, z okazji jakiejś rocznicy, aby oddać cześć swoim poległym towarzyszom broni? Bo jeśli nie, to może ja się niepotrzebnie czepiam. □

Kultura Niepodległa Kobiet

Pisarki, malarki, reżyserki, kompozytorki kreuja polską kulturę, tworzą nowe, przełomowe dzieła, poruszają publikę i wzbudzają społeczne debaty. Są obecne, ale czy dostrzegane? Próbując odpowiedzieć na to pytanie Stowarzyszenie „Sto Lat Głosu Kobiet” zainicjowało we wrześniu akcję „Kultura Niepodległa Kobiet”, której celem było podkreślenie roli kobiet w polskiej kulturze i walka z nierównościami w świecie sztuki.

Akcja odbywała się w ramach inicjatywy „Kultura Niepodległa”, która jest niezależnym ruchem polskich artystów występujących w imieniu kultury „wolnej, otwartej i czerpiącej z różnorodności”. We wrześniu opublikowany został manifest pod hasłem #chcemyrównościw-kulturze. Manifest poparły m.in. Małgorzata Omilanowska, Agnieszka Holland, Agnieszka Graff, Krystyna Janda,

Magdalena Sroka, Aleksandra Popławska, Olga Brzezińska, Renata Kopyto, Beata Czajkowska, Agnieszka Wolny-Hamkało, Katarzyna Janowska, Joanna Oparek, Dorota Nieznalska, Sylwia Chutnik, Barbara Klicka, Joanna Kos-Krauze, Iwona Demko, Kayah, Grażyna Smalej, profesor Ewa Graczyk i Aga Zaryan. Inicjatywa miała na celu wzbudzić społeczną dyskusję nad różnicami w zarobkach zatrudnionych w instytucjach kultury kobiet i mężczyzn, nad potrzebą zagwarantowania równych szans na uczelniach artystycznych i zwrócić uwagę na problem szeroko pojętej dyskryminacji w świecie sztuki. 14 października w Krakowie odbyła się towarzysząca akcji dyskusja panelowa pt. *Kultura Niepodległa Kobiet*. W debacie głos zabrały Magdalena Sroka, Grażyna Smalej, Olga Brzezińska i Dominika Kozłowska. □

Nina Gabryś



W nr 44 *Przeglądu* z 5 11 br. na s. 6 znajdujemy informację, że wszystkie partie lewicowe oraz *TKŚ im. T. Kotarbińskiego*, jak również *Koalicja Ateistyczna*, *Wolność od religii* i inne, jak *Inicjatywa Etyka w Szkole*, *Inicjatywa Świecka Szkoła* porozumiały się ponad podziałami i podpisały MANIFEST KONGRESU ŚWIECKOŚCI. Zamieszczamy poniżej ten dokument oraz stosowne zdjęcie. red.

Warszawa, 22 października 2017 r.

MANIFEST KONGRESU ŚWIECKOŚCI

My, niżej podpisani, w poczuciu odpowiedzialności za Rzeczpospolitą Polską, w trosce o przestrzeganie praw i wolności obywatelskich oraz ład ustrojowy i wizerunek międzynarodowy naszego Państwa, sprzeciwiamy się klerykalizacji życia publicznego i uprzywilejowaniu jakiegokolwiek wyznania w polskim porządku prawnym.

Oświadczamy, że naszym celem jest budowa demokratycznego, świeckiego państwa prawa.

Uznajemy, że dla osiągnięcia tego celu konieczne są następujące działania:

- zniesienie art. 196 kodeksu karnego o obrazie tzw. uczuć religijnych lub taka zmiana tego przepisu, która uwzględni prawa i wrażliwość osób niewierzących;
- ustanowienie prawa obywateli do kontroli i wglądu w treść dotyczącą ich danych osobowych, gromadzonych i przetwarzanych przez kościoły i związki wyznaniowe;
- likwidacja ustawowych przywilejów finansowych wszelkich kościołów i związków wyznaniowych;
- prawne zrównanie kościołów i związków wyznaniowych ze świeckimi organizacjami światopoglądowymi, w tym w zakresie opodatkowania;
- wypowiedzenie Konkordatu jako faworyzującego katolicką grupę wyznaniową lub jego renegecja, mająca na celu złagodzenie nadmiernego uprzywilejowania Kościoła rzymskokatolickiego;
- zaprzestanie finansowania kościołów, związków wyznaniowych oraz kościelnych instytucji i duchowieństwa z budżetu Państwa i budżetów samorządowych, a w przypadku utrzymania dofinansowania w jakiegokolwiek formie, przestrzeganie zasady pełnej jego jawności i kontroli;
- egzekwowanie świeckiego charakteru szkół publicznych z poszanowaniem zasady neutralności światopoglądowej i wyznaniowej, a także oświaty opartej na dorobku nauki i uniwersalnym systemie wartości, uznanym przez społeczność międzynarodową w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, prawie Unii Europejskiej oraz przez obywateli Polski w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej;
- wyrowadzenie religii poza plan obowiązkowych zajęć szkolnych i traktowanie jej na równi z innymi przedmiotami nieobowiązkowymi;
- wprowadzenie do szkół edukacji antydyskryminacyjnej, uwzględniającej kwestie różnorodności światopoglądowej i kulturowej;
- zapewnienie powszechnej, fizycznej i ekonomicznej dostępności środków antykonceptyjnych;



- liberalizacja ustawy antyaborcyjnej i wprowadzenie edukacji seksualnej do szkół;
- finansowanie przez Państwo zapłodnienia in vitro jako metody leczenia niepłodności;
- zmiana lub zniesienie tzw. klauzuli sumienia, określonej w artykule art. 39 ustawy o zawodzie lekarza i lekarza denty, gdyż ogranicza ona prawa pacjenta do korzystania z usług i procedur medycznych;
- zapewnienie każdemu prawa do godnej śmierci, niezależnie od wyznania lub przekonań lekarzy i personelu medycznego;
- wprowadzenie równości małżeńskiej, a dla osób, które nie odnajdują się w tradycyjnej formule małżeństwa - wprowadzenie instytucji związku partnerskiego, otwartego zarówno dla par przeciwnej, jak i tej samej płci;
- zapewnienie bezwzględnego przestrzegania przez Państwo zasady wolności myśli, sumienia i wyznania oraz zapewnienie wszystkim bez względu na wyznawaną religię lub światopogląd - pełnej równości wobec prawa i równego traktowania przez władze publiczne;
- poszanowanie konstytucyjnego prawa do nieujawniania światopoglądu i przekonań religijnych oraz przynależności do kościołów lub związków wyznaniowych;
- przywrócenie świeckiego charakteru wszystkim instytucjom publicznym, w tym przedszkolom i szkołom, urząd państwowym, służbom cywilnym i wojskowym oraz ceremoniałowi i uroczystościom państwowym;
- wspieranie przez Państwo organizacji pozarządowych działających na rzecz przestrzegania praw człowieka i obywatela oraz ochrony praw kobiet, dzieci, osób niepełnosprawnych i ofiar przemocy;
- surowe karanie łamania praw kobiet, w tym praw seksualnych i reprodukcyjnych;
- skuteczne wdrożenie i przestrzeganie Konwencji o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej;
- upowszechnianie przepisów dotyczących ochrony przyrody i praw zwierząt oraz skuteczne ich egzekwowanie, zarówno w obszarze hodowli, jak i badań naukowych oraz praktyk religijnych, z uwzględnieniem zasady zapewnienia zwierzętom dobrostanu i minimalizacji ich cierpienia.

Uznając, że kwestia wolności myśli, sumienia i wyznania ma ścisły związek z rozdziałem Kościoła od Państwa i zagadnieniami związanymi z obecnością religii w sferze publicznej, deklarujemy ponadto, że podejmiemy starania na rzecz powołania do życia instytucji badawczo-naukowej, której celem będzie monitorowanie stanu przestrzegania praw gwarantujących świeckość Państwa, prowadzenie badań dotyczących wpływu religii i kościołów na życie społeczne i polityczne w Polsce, oraz inspirowanie zmian politycznych i prawnych zmierzających do skuteczniejszej ochrony praw i wolności wszystkich obywateli, respektowania świeckiego charakteru Państwa i umacniania kultury demokratycznej w Polsce.

Podpisy własnoręczne przedstawicieli następujących partii oraz ugrupowań: Inicjatywa Feministyczna, Inicjatywa Polska, Partia Razem, Sojusz Lewicy Demokratycznej, Socjaldemokracji Polskiej, Unii Pracy, Wolność i Równość, Partia Zieloni. □

Dni Świeckości i Marsz

Kraków 14.11.2017 r.

Tradycyjnie jak co roku od prawie 10 lat, w ponoć klerykalnym Krakowie, w ostatni wrześnieowy weekend odbyły się Dni Świeckości organizowane przez Koalicję Postęp i Świeckość. Tegoroczne Dni Świeckości obchodzone były pod hasłem: „Nie ma wolności bez świeckości”. Głównym organizatorem było Stowarzyszenie Wszechnicy Oświeceniowo-Racjonalistycznej, przy udziale krakowskiego Towarzystwa Kultury Świeckiej. Jak zawsze centralnym punktem Dni był Marsz Świeckości, który w sobotę 30 września przeszedł ulicami Krakowa na trasie od hotelu Cracovia do pomnika Adama Mickiewicza na Rynku Głównym. W Marszu wzięło udział około 300 osób i przechodził on w kordonie policji, co okazało się w praktyce zbędne, ponieważ ze strony mieszkańców Krakowa nie było żadnych agresywnych zachowań, a wręcz odwrotnie – często maszerujący obierali oznaki



aprobaty i poparcia, liczni turyści byli bardzo zainteresowani marszem i niesionymi hasłami. Wiele różnorodnych hasel utrzymane było w duchu świeckości, bez żadnych elementów agresji i braku kultury, co potwierdza następujący wybór hasel: „nie ma wolności bez świeckości”, „chcemy edukacji a nie indoktrynacji”, „wolność myślenia zbawi pokolenia”, „wolna szkoła religia do kościoła”, „indoktrynacja to degradacja” i inne utrzymane w tym duchu. Brak oznak negatywnego odbioru Marszu, jak to zdarzało się w poprzednich latach, może świadczyć



o dojrzewaniu demokracji, w której każdy może głosić swoje poglądy, lecz nie wolno ich nikomu narzucać. Można mieć nadzieję, że społeczeństwo uniemożliwi obecnie rządzącym cofanie nas z drogi demokracji. Tego musimy sobie życzyć. □

Opr. Sławomir Brodziński,
zdjęcia: Adam Manterys

Starczewska: Zamysł „dobrej zmiany” to wychowanie obywateli posłusznych autorytarnej władzy. Rozmawia Michał Gostkiewicz – gazeta.pl weekend na święto Odzyskania Niepodległości.

„Dobra zmiana” jest zmianą totalną. Zmienia prawo, sądy, armię i szkołę, bo chce wychować pokolenie ludzi o narodowo-patriotycznym nastawieniu, którymi łatwo będzie manipulować – mówi dr Krystyna Starczewska, opozycjonistka, działaczka KOR-u, założycielka i b. dyrektorka I SLO na Bednarskiej.



Krystyna Starczewska
(fot. Franciszek Mazur/AG)

MG: Pani dyrektor, dlaczego młodzież szkolna świętuje dzisiaj ważne daty polskiej historii racami, krzykiem i śpiewem, niezależnie, czy czci zwycięstwo, czy porażkę?

KS: – Ponieważ słabo tę historię zna. Zresztą, nie tylko młodzież, politycy też. Zanim na przykład podjęli decyzję o uczczeniu Brygady Świętokrzyskiej NSZ, powinni lepiej poznać fakty dotyczące jej działalności, między innymi fakt współpracy z hitlerowcami.

MG: – Po zmianach w programie nauczania będą znać historię jeszcze gorzej?

KS: – Źle będzie się rozpoczynać w szkole po „dobrej zmianie” cały proces

nauczania historii. Według nowego programu dzieci z klasy IV szkoły podstawowej, nie znając kontekstu historycznego, będą wkuwać na pamięć biografie dwudziestu wielkich Polaków - od Mieszka I po żołnierzy wyklętych i bohaterów „Solidarności”. Chodzi chyba wyłącznie o to, by w głowie dziecka utrwaliło się przekonanie, że bohaterowie to tylko Polacy.



Obchody 73 rocznicy Powstania
Warszawskiego w Warszawie
(fot. Adam Stępień/AG)

MG: – Z programu języka polskiego znikają ważne lektury. Historii będziemy uczyć wybiórczo. Podręczniki do wychowania do życia w rodzinie są zgodne z doktryną Kościoła katolickiego. Co my robimy, pani dyrektor?

KS – Nie „my”, a „dobra zmiana”, która niszczy system edukacji polskich dzieci. Skasowanie gimnazjów oznacza chaos organizacyjny w szkołach – przez najbliższe dwa lata jedno dziecko będzie „szły” starym torem nauki, inne nowym. Oznacza – znowu! – skrócenie edukacji ogólnej ogółu polskiej młodzieży z 9 do 8 lat. Gimnazja miały przecież wyrównywać szanse edukacyjne i z zadania tego się wywiązały, o czym świadczą wyniki międzynarodowych badań poziomu piętnastolatków. Z powodu zmian struktury

szkolnictwa wielu nauczycieli straci pracę. A te nieszczęsne, na kolanie robione podstawy programowe mają wyraźne ideologiczne przesłanie. W spisie lektur dla szkoły podstawowej nie ma prawie literatury powszechnej. Szekspira nie ma! „Antygony” Sofoklesa nie ma. Tylko „My – Polacy” tworzyliśmy kulturę.

MG – Ta polonocentryczność to pani zdaniem przypadek, czy zamysł?

KS – Myślę, że zamysł. Do czego innego mogłoby służyć wykreślanie z programu haseł tolerancji i nastawienie nauczania przede wszystkim na akcentowanie „wielkości” Polski we wszelkich dziedzinach? Dlaczego w podstawówce dzieci poznają historię powszechną tylko w tych momentach, gdy łączy się ona z Polską? Dlaczego jest taki nacisk na to, co jest ważne z punktu widzenia specyficznie pojmowanego „patriotyzmu”? Zamysł, o który pan pyta, jest w moim przekonaniu następujący: wychować pokolenie ludzi o narodowo-patriotycznym, a właściwie po prostu nacjonalistycznym nastawieniu, którymi łatwo będzie manipulować. W PRL ideologia była oczywiście inna, ale zamysł dotyczący funkcji szkoły ten sam: szkoła miała wychować obywateli podporządkowanych autorytarnej władzy.

MG: – Padło w cudzysłowie słowo patriotyzm. Jak go dzisiaj uczyć gimnazjalistów i licealistów, którzy mają potrzebę głośnego, jasnego, szczerego wyrażania swojej miłości do ojczyzny?

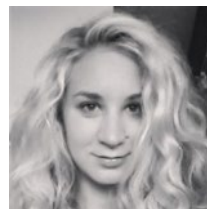
KS – Zacząć powinniśmy od odpowiedzi na pytanie: czym różni się patriotyzm od nacjonalizmu? Patriotyzm nie oznacza zamykania oczu na to, co było w naszym narodzie i w naszej przeszłości nie najlepsze. Oznacza umiejętność krytycznej oceny własnej narodowej przeszłości, aby unikać w przyszłości popełnianych błędów. Patriotyzm nie oznacza tylko troski o kraj, o naszą dużą ojczyznę, ale także o tę małą – nasz dom, miejscowość, w której mieszkamy, szkołę. Jak

uczyć patriotyzmu? Przede wszystkim w działaniu, nie tylko na lekcjach. Z patriotyzmem nierozzerwalnie łączy się solidarność i współpraca dla wspólnego dobra. Jeżeli coś jest złe dla mojej małej czy dużej ojczyzny – co mogę robić, żeby temu złu przeciwdziałać? Co ja, uczeń, mogę robić? Jak mogę działać zarówno dla dobra mojej małej ojczyzny – własnej rodziny, jak i tej większej – szkoły, miasta, w którym mieszkam, Polski? Ale żeby takie postawy kształtować, trzeba pokazać co było pozytywne, a co negatywne w przeszłości, o której dziecko akurat się uczy. (...) Uważam, że obecnie są trzy ważne problemy, o których powinniśmy rozmawiać z naszymi uczniami. Po pierwsze: czym jest demokracja? Młodzi ludzie powinni dobrze rozumieć zasady demokracji, żeby móc samodzielnie ocenić wydarzenia, które mają miejsce w dzisiejszej Polsce. W naszym Zespole Szkół uczniowie poznają w praktyce podstawową zasadę ustroju demokratycznego, jaką jest trójpodział władzy. W naszych szkołach mamy władzę ustawodawczą – czyli Sejm Szkolny, władzę wykonawczą – czyli Radę Szkoły pełniącą rolę szkolnego rządu i niezawisły Sąd Szkolny. W każdym z tych organów zasiadają, wybierani w demokratycznych wyborach, przedstawiciele trzech szkolnych stanów – uczniów, nauczycieli i rodziców. To nie zabawa, szkolne demokratyczne władze podejmują decyzję w sprawach istotnych dla funkcjonowania naszych szkół. I chcemy te szkolne instytucje demokratyczne wzmocnić, aby nawet dzieci z młodszych klas podstawówki miały świadomość, że mogą mieć rzeczywisty wpływ na to, co dzieje się w szkole. Współodpowiedzialność za małą ojczyznę, jaką jest szkoła – to pierwszy krok do przyszłej ich obywatelskiej współodpowiedzialności za państwo, czyli do właściwie rozumianego patriotyzmu. □

internetowy portal Gazety Krakowskiej „Belzebub”
nie taki straszny? Wykład Daniela Dennetta bez ekscesów

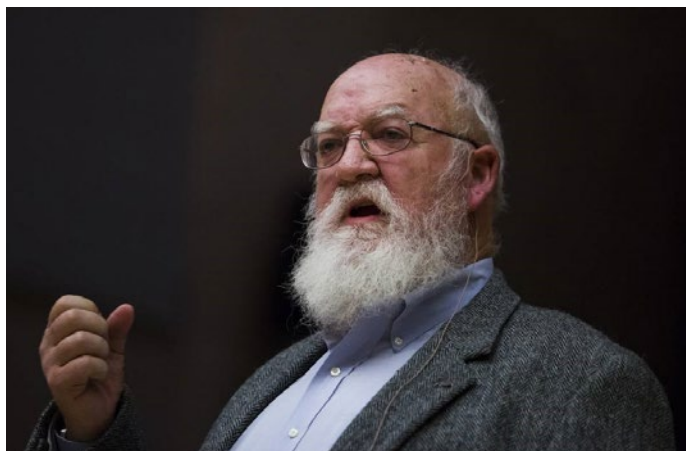
23 października 2017

AKTUALIZACJA: 24 października 2017 10:03



Nicole Makarewicz

Daniel Dennet na Uniwersytecie Jagiellońskim



Daniel Dennett na Uniwersytecie Jagiellońskim

Konserwatywne środowiska sprzeciwiające się wystąpieniu Daniela Dennetta, amerykańskiego filozofa, na Uniwersytecie Jagiellońskim, zapowiadały protest przed Auditorium Maximum. Z zapowiedzi nic jednak nie wyszło.

Grupka osób, która miała zamiar protestować pojawiła się przed salą wykładową jednak do żadnych manifestacji nie doszło. Być może chcieli wejść do środka sali wykładowej, ale nie mogli tego zrobić bez wejściówek. Daniel Dennett został przywitany w Auditorium Maximum gromkimi brawami. Witali go nie tylko przedstawiciele UJ, ale również prezydenta

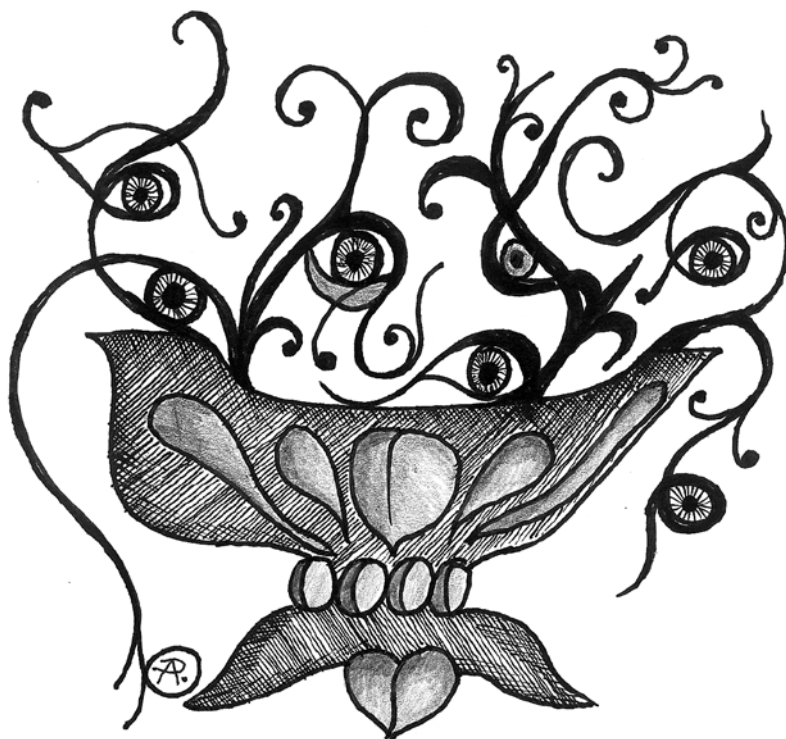
Jacka Majchrowskiego. W spokojnej atmosferze poprowadził wykład „Od bakterii do Bacha i z powrotem”. Amerykanin to filozof celebryta, wykładowca na Uniwersytecie Tufts. Nazywany jest „jednym z czterech jeźdźców” nowego ateizmu. Nowy ateizm to ruch pisarzy i naukowców, wyznających pogląd, że „religii nie powinno się jedynie tolerować, lecz należy jej przeciwdziałać, krytykować ją i poddawać racjonalnej argumentacji wszędzie tam, gdzie sięgają jej wpływy”. Czym wstawił się Daniel Dennett? To on w 2009 r. wymyślił organizowany odtąd co roku Dzień Bluźniercy, podczas którego

Za: wyborcza.pl: Ojciec Kłoczowski
z medalem *Cracoviae Merenti*.
Paweł Kopeć, 4 października 2017:

To najwyższe odznaczenie przyznawane przez Miasto Kraków, którym wyróżniane są osoby i instytucje szczególnie zasłużone dla miasta. Sala obrad Rady Miasta Krakowa wypełniła się po brzegi z okazji uroczystej sesji. Po wyróżnieniach dla kardynała Franciszka Macharskiego i Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, trzeci, ostatni w tej kadencji Rady Miasta srebrny medal przyznany został ojcu Janowi (alias: Andrzejowi – JK) Kłoczowskiemu.

Laudację na cześć laureata wygłosił prezydent Jacek Majchrowski.

– Nie mam żadnej wątpliwości, że wręczenie tego medalu spełnia wolę krakowian. Ojciec Kłoczowski, który swoją krakowską drogę rozpoczynał od opieki nad studentami – m.in. prowadząc słynną „Beczkę” – przez lata posługi wychowywał nie tylko studentów, ale kolejne pokolenia krakowian. Uczył nas, że wiarę przekazuje się poprzez świadectwo, a nie przez pouczanie – mówił prezydent.



● 11 listopada Warszawa została sparaliżowana przez zgłoszenie 12 marszów i zgromadzeń organizowanych w ramach Święta Niepodległości. Największym był marsz organizowany przez Obóz Narodowo Radykalny i Młodzież Wszechpolską, który według organizatorów liczył ponad 100 tys., a według policji 60 tys. uczestników. Marsz był organizowany pod dziwnie brzmiącym hasłem: „My chcemy Boga”, co by sugerowało, że są w Polsce jakieś siły, które zabraniają wierzyć w Boga. Niestety w świat poszły medialne relacje, że w Polsce odbył się największy marsz neofaszystów we współczesnej Europie. Wszystkie światowe agencje pokazały zadymiony racami tłum kiboli niosący i wrzeszczący rasistowskie, ksenofobiczne itp. hasła. Natomiast pierwsze komentarze przedstawicieli rządu całkowicie bagatelizowały ponury wizerunek marszu, a późniejsze słowa potępienia były mało wiarygodne.

● „Naprawianie” Unii Europejskiej przez pisowskich przedstawicieli rządu i posłów europarlamentu, polegające na nieliczeniu się z krytycznymi uwagami unijnych instytucji odnośnie wprowadzanych reform, doprowadziły do uchwalenia przez Parlament UE rezolucji wzywającej polski rząd do przestrzegania praworządności w Polsce.

● Młodzież Wszechpolska i ONR zorganizowały w Katowicach happening obrazujący, jak będą rządzić gdy

przejmą władzę. Organizatorzy postavili 6 makiet szubienic, na których zawiesili portrety polskich europarlamentarzystów głoszących za przyjętą rezolucją w sprawie Polski. Chyba już najwyższy czas zdelegalizować organizacje dążące do totalitaryzmu i faszyzmu.

● Od kilku miesięcy trwa walka społeczeństwa z rządzącymi o zachowanie niezależności sądownictwa. Rządowe projekty reformy sądów nie proponują poprawy organizacji funkcjonowania tych instytucji, lecz zawierają uregulowania podporządkowujące sądownictwo rządzącym. Były nocne manifestacje z morzami świateł pod sądami, co wpłynęło na decyzję Prezydenta o zawetowaniu dwóch z trzech ustaw. Po dwóch miesiącach Prezydent przedstawił swoje projekty ustaw. Ale to tylko gra pozorów, gdyż w istocie krok po kroku następuje dekompozycja demokratycznego ustroju państwa.

● Jak wygląda przestrzeganie prawa w pisowskiej Polsce wyraźnie widać na przykładzie, jak potraktowano osoby, które protestowały przeciwko smoleńskim miesięcznikom, czy neonazistowskim marszom. Protestujący trzymali białe róże, transparenty z hasłami sprzeciwu lub siadali na drodze maszerujących, bez jakichkolwiek oznak agresji protestowali w sposób pokojowy w ramach tzw. obywatelskiego sprzeciwu. Wobec nich skierowano około tysiąca wniosków o ukaranie z zarzutami, że

łamali prawo. Nawet okrzyk „niech żyje Lech Wałęsa” stanowił powód do postawienia zarzutu.

● Zaprotestowali młodzi lekarze, tzw. rezydenci. Zgłosili postulat zwiększenia składki zdrowotnej do 6,8 % budżetu, podwyżki uposażeń i unormowania godzin dyżurów. Protestowali w formie strajku głodowego i zyskali poparcie dużej części lekarskiego środowiska oraz pacjentów. Natomiast rząd nie wykazał żadnego zainteresowania głodującymi, a do mediów przebiły się wypowiedzi pisowskich posłów jak: „chcą jechać niech jada”, czy „jak głodują to schudną”. Kolejny przykład arogancji władzy.

● Trwała osobista wojna min. profesora Jana Szyszko z Puszcą Białowieską do czasu, gdy Trybunał Europejski zagroził karą 100 tys. euro za każdy dzień dalszej wycinki drzew w Puszczy. I poskutkowało, ciężki sprzęt zjechał do baz, a ekolodzy inwentaryzują straty, jakie spowodował minister środowiska, do którego dociera tylko argument siły. Kolejny przykład rzetelnego fachowca z pełną głębokością troski o wspólne dobro.

● Weszła w życie tzw. ustawa dezubekizacyjna, która znacząco obniża emerytury byłym pracownikom jednostek podległych MSW. Kuriozalna ustawa niemająca nic wspólnego z praworządnością, ponieważ karze ludzi nie za popełnione czyny, tylko za pracę na rzecz państwa. Polska Rzeczpospolita Ludowa była legalnym państwem, uznanym przez wszystkie kraje świata i nie można nikogo karać za to, że

żył i pracował w PRL. Każdy, kto tego nie rozumie, jest albo zaślepionym fanatykiem, albo niedouczonego pseudointeligentem.

● Odżyła chęć zburzenia Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Szkoła słów, jedyny komentarz to stara prawda, że tylko barbarzyńcy burzą pomniki i dewastują groby.

● „Macierewicz show” trwa nadal. Teoria o smoleńskim zamachu już w zasadzie upadła, trudno dziś znaleźć jej wyznawców, więc mamy kolejne wykwyty bujnego intelektu ministra wojny. Na międzynarodowym forum ogłosił, że Rosja jest w przededniu rozpoczęcia działań wojennych. Mówca nie przedstawił kiedy to nastąpi, gdzie i z kim będą prowadzone działania wojenne. Uczestnicy spotkania byli zaskoczeni, zdumieni i zażenowani.

● Kolejną próbą utrzymania władzy przez rządzących jest projekt zmiany ordynacji wyborczej w taki sposób, aby zagwarantować sobie sukces przed głosowaniem. Jakość tych poprawek najlepiej charakteryzuje opinia przewodniczącego Państwowej Komisji Wyborczej, który stwierdził, że projekt zmian ordynacji musiał przygotowywać „mały Kazio”. Przykładem dyletanctwa autorów projektu jest propozycja, aby każdy oddany głos oceniał przewodniczący komisji wyborczej, a następnie prezentował go pozostałym członkom komisji celem weryfikacji. Ten sposób liczenia głosów będzie trwał nie kilka godzin, lecz kilka dni. □

Sporządził Sławomir Brodziński
Kraków 25.11.2017 r.



- Życie to piękny teatr, niestety repertuar marny.
Oskar Wilde
- Każdy posiada swój punkt widzenia. Niestety – wielu nosi go w kieszeni.
Andrzej Pierzchała
- Nasze życie jest takim, jakim uczyniły je nasze myśli.
Marek Aureliusz
- Będąc sobą dla siebie – dla innych bywa się zazwyczaj obcym.
Jerzy Hłond
- Życia nie mierzy się ilością oddechów, ale ilością chwil, które zapierają dech w piersiach.
Maya Angelou
- Jak komuś życie krzywo się ułożyło (...) i jest sam, to robi się trochę dziwny i nieraz głupie pomysły przychodzą mu do głowy.
Irena Jurgielewiczowa

- Życie jest komedią dla tych, którzy patrzą, a tragedią dla tych, którzy czują.
Jonathan Swift
- Nie ma takich problemów, które pewnego dnia by się nie skończyły.
Andrzej Klawitter
- Historia Polski zaczęła się od Mieszka i skończyła się na mieszk – tylko pustym.
Joachim Mielke
- Są w życiu sytuacje, w których musisz sobie powiedzieć „dam radę” i iść dalej.
NN
- Okres Oświecenia to już przeszłość. Teraz żyjemy w epoce Oszustwiania.
Chuck Palahniuk
- Życie to zagadka, nie trać czasu, bo jej nie rozwiążesz.
Dan Millman

Myśli wybrał J. Kabaj





STEFAN BERDAK "Już w Raju, też wypomina", akryl, płótno.